Dziś w numerze: Historia uniwersalna? ● As wywiadu radzieckiego o sobie ● Z wyznań eks-wiejskiego satyryka ● Spotkanie ze „Słowem" ● Małżeństwo z rozsądku ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 10 (372)
13 III. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Fot. Helga Wallmüller

JULIAN RADWAŃSKI

O NAUCZANIU JĘZYKA POLSKIEGO W SZKOŁACH ŚREDNICH UWAG KILKA

Ostatnie egzaminy dojrzałości w Łodzi potwierdziły słuszność tezy o konieczności uwspółcześnienia programu nauczania języka polskiego w szkołach średnich. Z trzech tematów na egzaminie pisemnym znakomita większość abiturientów wybrała trzeci, traktujący o literaturze powojennej.

Czemu to przypisać? Można to oczywiście, tłumaczyć faktem, że literatura powojennego dwudziestolecia, często podejmująca tematykę okupacyjną — to materiał najświeższy, omawiany na lekcjach bezpośrednio przed maturą, ale z drugiej strony, jak wyjaśnić doskonałą niekiedy znajomość problematyki i pozycji lekturowych nie przewidzianych programem? Chyba jednak zainteresowaniem, wynikającym z poczucia ważności tych spraw. Właśnie to zastanawia, że młodzież najchętniej i najżywiej dyskutuje na lekcjach, na których omawiany jest utwór, ukazujący albo współczesne jej stosunki, albo podejmujący ważne problemy moralne, obyczajowe czy społeczne. Na pewno w każdej szkole i w każdej społeczności uczniowskiej ciekawsze okaża się rozważania na temat postawy życiowej Ziembiewicza z „Granicy", niż wyjaśnianie skomplikowanej symboliki „Wesela" Wyspiańskiego; bliższe młodym będą „Medaliony" aniżeli kasprowiczowskie „Hymny". Większość uczniów przechodzi przez szkołę, nie rozumiejąc prawie zupełnie myśli zawartych w III cz. „Dziadów" czy też w „Kordianie". O tym nauczyciele wiedzą, ale pocieszają się garstką inteligentniejszych słuchaczy i machają ręką na resztę. Oczywiście, byłoby dużym nieporozumieniem stawiać sprawę w ten sposób, że skoro takich czy innych pozycji młodzież nie lubi — to należy je odrzucić, a nauczać tylko tego, co ją interesuje. Ale niewątpliwie fakt ten dowodzi konieczności dokonania zmian programowych.

Od dawna wszyscy uczący języka polskiego w szkołach zawodowych i ogólnokształcących wiedzą dobrze, ile nerwów i trudu kosztuje ta praca. Żaden inny przedmiot nie wymaga od nauczyciela takiej ekwilibrystyki umysłowej, takiej żmudnej roboty i tak wszechstronnego kształcenia ucznia, jak właśnie język polski. Od polonisty władze wymagają, żeby przynajmniej w stopniu dostatecznym przygotował młodego człowieka w zakresie czytania i pisania, wypowiadania się w słowie i piśmie, znajomości podstawowych zasad gramatycznych, orientacji w historii literatury ojczystej i światowej, rozumienia w sensie co prawda bardzo ogólnym sztuki i kierunków jej rozwoju (architektura, malarstwo, muzyka, teatr), rozróżniania figur stylistycznych i metryki wiersza, umiejętności posługiwania się encyklopediami, słownikami... Można by tak dorzucać jeszcze to i owo, ale chyba wystarczy i tego, co zostało powiedziane...

Tych zadań szkoła, niestety, nie spełnia w takim stopniu, w jakim powinna. Nie jest w stanie. Pro-

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLICH

WIADOMO Stolica

Nic nie wiadomo. Po minięciu Chimińskiego Zbiornika Wodnego ze wszystkich stron osacza przyjezdnego miasto. W tej dziedzinie jest to jeszcze głównie miasto ciężarówek, ale komunikacyjny puls już zapowiada olbrzyma.

To moja druga podróż. Pierwsza w latach dwudziestych odbył za mnie Egon Erwin Kisch. W walizce wiozę więc książkę „O carach, popach i bolszewikach". Cóż, czasy zmieniają się. Kiedy niemiecki globtrotter wyruszał w podróż, najtrudniej było o carów. Dziś w Archangielskim Soborze można się bezpłatnie oprzeć o metalowe trumny rządców Imperium Rosyjskiego. Trudniej o bolszewików. Rewolucję robili ludzie młodzi, ale od tamtych dni minęło już prawie 50 lat. Bolszewika z armii Budionnego poznałem dopiero na prowincji. Ma jeszcze rześki głos — tyle zostało z dawnego kawalerzysty.

Izwozczika musiał mi zastąpić szofer. Wszystkie taksówki są państwowe, toteż kierowcy nie przypasowują pasażerów do kursu, jadą tam, gdzie ich się prosi. Mój zresztą nie miał żadnych powodów do niezadowolenia, 50 km to wyjątkowo dobry kurs, nawet przy tutejszych przestrzeniach. Jego „szyroka rosyjska dusza" każe mu opowiadać kawałki własnej biografii. Ma co opowiadać: Wojnę przeżył pod okupacją. W obawie przed nalotami rodzice wysłali go z Moskwy do babki pod Kursk. Na dobre kilka lat stracił z nimi łączność.

Kiedy wspomnienia wojenne tracą bardziej dramatyczne akcenty, szofer wynajduje nowy temat rozmowy. Przez szybę samochodu pokazuje przy Prospekcie Kalinina dom, w którym się urodził trzydzieści lat temu, i w którym, co najdziwniejsze, trzy lata temu żona urodziła mu syna. Był to po prostu pierwszy dom po drodze, przy którym zatrzymał się samochód pomocy medycznej, kiedy tylko lekarz zorientował się, że położnicy do szpitala nie dowiezie. Z żalem dodaje, że budynek zostanie niedługo rozebrany.

Jest to wyjątkowo brzydka czynszówka, pamiętająca jeszcze ostatniego cara, mówię więc, że nie ma czego żałować. Szofer niby się godzi, dodaje jednak, że zawsze to tak, jakby się traciło jakąś cząstkę siebie, a poza tym w tych nieoczekiwanych narodzinach jego dziecka jest chyba jakiś znak.

Zaraz zresztą zaczyna się rozwodzić nad wybudowaną w czasach znamiennego XX Zjazdu KPZR dzielnicą mieszkaniowo-handlową, w rejonie Kutuzowskiego Prospektu, gdzie mieści się zamówiony dla mnie hotel. Kiedy zajeżdżamy pod budynek przypominający Pałac Kultury i Nauki w Warszawie, spostrzegam, że ciężarówek nie ubyło, wyraźniej jednak przybyło limuzyn. Ponieważ zaś dla zaspokojenia potrzeb aprowizacyjnych Moskwy wystarczyłaby połowa tego towarowego taboru, wytłumaczenie nasuwa się samo — miasto nie przestało być ogromnym placem budowy. Wystarczy zaszyć się w labirynt pierieułków, odszukać rezerwaty Moskwy dziewiętnastowiecznej, aby przekonać się, ile tu w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego pozostało jeszcze do zrobienia.

„Ukraina", tak bowiem nazywa się hotel, góruje funkcjonalnością nad urodą. Szybkobieżna winda wiezie mnie na 16 piętro, skąd widok na rzekę Moskwę i na Nadbrzeże Szewczenki. Dla łatwiejszej orientacji pobliskim ulicom nadano nazwy w jakiś sposób związane z Ukrainą. O pięć minut drogi piechotą Dworzec Kijowski, przy tak samo brzmiącym placu. Niestety, niezbyt konsekwentne nazewnictwo w gruncie rzeczy orientacji nie ułatwia. Przy niezliczonej ilości pierieułków, ich nazw nie znają, czy nie pamiętają nawet rodowici moskwiczanie. Na pomoc milicjantów także nie można liczyć. „Militoszka" z punktu widzenia znajomości topografii przedstawia się jak przeciętny moskwiczanin, tyle że niewiedzę nadrabia służbowa uprzejmością. Przyjezdny jest więc zdany na własny instynkt, chyba że przypadkowo natrafi na zawsze kompetentne „Sprawocznoje", gdzie zasięgniecie informacji kosztuje 2 kopiejki i nie ma kolejek, co oznacza, że ludzie jakoś sobie jednak z nazwami ulic radzą.

Zresztą zawsze jako klapa bezpieczeństwa pozostaje metro. W czasach Egona Kischa Moskwa jeszcze podziemnej kolei nie miała, co jest przedmiotem gorzkich refleksji Niemca wydanego na łup izwozczików i ich niemrawych chabet, pierwsza linię metra uruchomiono dopiero w 1935 r. Dziś pod Moskwą przebiega pulsujące, podziemne

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Wietnam, który jest głównym terenem napięcia międzynarodowego, odwrócił w jakimś stopniu uwagę od podstawowego problemu europejskiego — Niemiec.

O jego istnieniu raz po raz przypominają rewizjonistyczne wystąpienia polityków bońskich. I chociaż nie ma obecnie sytuacji grożącej jakąś eksplozją, jest to przecież rejon potencjalnych konfliktów.

Punktem wyjścia do uregulowania problemu może być jedynie uznanie istnienia dwóch państw niemieckich.

Przypominam o tym, ponieważ zgłoszony za pośrednictwem amb. Lewandowskiego wniosek Niemieckiej Republiki Demokratycznej o przyjęcie jej do ONZ, wywołał na Zachodzie prawdziwy szok.

Zdaniem komentatorów zachodnich — wniosek ten spełnia jednocześnie kilka funkcji dyplomatycznych. Oznacza on przejęcie przez kraje socjalistyczne ofensywy politycznej, pomaga wykazać światu, kto rzeczywiście blokuje rozwiązanie zagadnienia niemieckiego, sygnalizuje problemy europejskie, podczas gdy cała uwaga Stanów Zjednoczonych zwrócona jest obecnie na Azję południowo-wschodnią.

Pierwszy, i natychmiast, zareagował na wniosek ambasador NRF — von Braun, który w kategorycznej formie zażądał od przedstawicieli trzech mocarstw zachodnich zakwestionowania legalności doręczenia memorandum, zakazu jego rozpowszechniania i niedopuszczenia do zwołania na ten temat posiedzenia Rady Bezpieczeństwa.

Przedstawiciele trzech mocarstw wydali wprawdzie komunikat, w którym stwierdzają, że „Niemiecka Republika Demokratyczna nie jest państwem" (!?), lecz z trzydniowym opóźnieniem; a ponadto nie ma tam sprzeciwu z powodu przyjęcia tego dokumentu przez U Thanta, ani też zapowiedzi żadnej kontrakcji.

Dobrze poinformowane źródła donoszą, że każdy z zachodnich sojuszników NRF miał własne powody, by nie ustępować przed silną presją von Brauna: W. Brytania, ponieważ nie chciałaby wiązać sobie rąk w przededniu wyborów, wyznaczonych na 31 marca, Francja — z uwagi na niedaleką wizytę prez. de Gaulle'a w Moskwie, a Stany Zjednoczone dlatego, że właśnie przed dwoma tygodniami amb. Goldberg oświadczył publicznie, że Rada Bezpieczeństwa powinna dyskutować wszystkie bez wyjątku kwestie.

Zakończyło się na razie na 6-wierszowym komunikacie, a więc najbardziej lakonicznym, jaki można było sobie wyobrazić, ku niezadowoleniu NRF.

Nie prorokując: co dalej — stwierdźmy dotkliwą porażkę Bonn.

Wniosek NRD o przyjęcie jej w poczet członków ONZ utrzymuje się w orbicie najżywszego zainteresowania w siedzibie Narodów Zjednoczonych.

Sensacją ostatnich dni na całym świecie stały się wiadomości agencyjne o przekazaniu przez prezydenta Gwinei — Sekou-Toure swej funkcji obalonemu przed kilkunastu dniami prezydentowi Ghany — Nkrumahowi. To nie notowane w historii dyplomacji wydarzenie powoduje falę domysłów i hipotez, spośród których najczęściej wymienia się możliwość reaktywowania Unii Ghany i Gwinei.

W tym miejscu chciałbym przypomnieć Czytelnikom, że tuż po proklamowaniu przez Gwineę niepodległości, co miało miejsce w październiku 1958 r. unię taką oba kraje zawarły, a następnie przyłączyła się do nich republika Mali. Nigdy jednak idea o sfederowaniu nie została wprowadzona w życie, chyba głównie z powodu formowania się szerszych ugrupowań politycznych.

I oto teraz, po decyzji Sekou-Toure, publicyści przypomnieli sobie o tej nieanulowanej nigdy unii, przewidując jej reaktywowanie.

Są i inne poglądy, jak np. „Timesa". „Decyzja Sekou-Toure — czytamy tam — interpretowana jest w Londynie jako prosty sposób utrzymania Nkrumaha na arenie, jako oficjalnej i międzynarodowej osobistości o uznanej pozycji. To bowiem pozwoliłoby mu odgrywać dalej pewną rolę w sprawach afrykańskich".

Tak, czy inaczej jedno jest wszakże pewne: Nkrumah pozostaje na scenie politycznej i spełniać będzie na niej nadal swą ważną dla Afryki misję.

Jeśli dziś przybrałem w komentarzu: „Ze świata" metodę omawiania wydarzeń według ich atrakcyjności — trzeba koniecznie skomentować jeszcze decyzję Wilsona o rozpisaniu wyborów do Izby Gmin na dzień 31 marca.

Pogłoski, o których informowałem przed dwoma tygodniami, jak widać, sprawdziły się.

Wyborów daleko przed upływem kadencji należało oczekiwać z uwagi na nikłą większość, jaką Wilson rozporządza w parlamencie. Jakie jednak okoliczności zdecydowały, że Labour Party wybrała właśnie obecny okres?

Wydaje się, że następujące: sondaże wykazujące przewagę Partii Pracy nad konserwatystami (ponad 10-procentową), rozsypanie się Partii Konserwatywnej co najmniej na trzy skrzydła oraz pomyślne rezultaty ekonomiczne.

Te właśnie momenty chce wykorzystać Wilson w celu wzmocnienia zaledwie trzygłosowej przewagi w Izbie Gmin. I chyba można zaryzykować opinię, że Partii Pracy to się uda.

Najbliższy okres — w związku z kampanią wyborczą — ograniczy jednak z pewnością aktywność rządu brytyjskiego na arenie międzynarodowej.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

☐ W amerykańskim stanie Texas wybuchł skandal. Ujawniono, że wiele znanych firm naftowych, wydobywało naftę z terenów swych sąsiadów wiercąc skośne otwory. Otworów takich naliczono 244. Amerykanie wiadomość tę kwitują wzruszeniem ramion i drwiną: czy kto śmie jeszcze wątpić, że w Texasie wszystko może się zdarzyć?

☐ **Prowincjonalna prasa chińska publikuje artykuł pod**

Czas na nową koncepcję NATO.
(Die Weltwoche)

dający krytycznej ocenie realizowaną w ZSRR reformę gospodarczą, zwłaszcza zaś zasadę materialnych bodźców produkcji. Stosowanie zasady bodźców likwiduje — zdaniem artykułu — kierowanie gospodarką przez partię, likwiduje gospodarkę planową, zastępując ją swobodną konkurencją kapitalistyczną.

☐ W okresie muzułmańskiego święta ramadanu ulice Paryża zalegały nie usuwane zaspy śniegu. Powód: 90 proc. paryskich dozorców pochodzi z północnej Afryki. Władze miejskie skierowały co prawda ponad 1000 robotników do odśnieżania ulic jednak bez większego efektu.

☐ **W połowie 1965 roku liczba ludności zamieszkującej kulę ziemską wynosiła 3 miliardy 308 milionów osób. Jeśli utrzyma się obecne tempo przyrostu ludności to w 2000 roku kulę ziemską będzie zamieszkiwało ponad 7 miliardów osób. Pierwsze miejsce pod względem tempa przyrostu zajmują Ameryka Łacińska, Afryka i Azja. 7/8 przewidywanego przyrostu ludności w najbliższych 35 latach przypadnie na te właśnie kontynenty.**

☐ W angielskim mieście Workington sąd zmuszony został odłożyć rozprawę, ponieważ w nocy poprzedzającej posiedzenie, do budynku sądu wdarli się złodzieje kradnąc... peruki sędziów i adwokatów.

☐ **Prasa zachodnioniemiecka snuje przypuszczenia o możliwości wycofania części sił amerykańskich stacjonujących w NRF, i wysłania ich do Wietnamu. Na razie władze amerykańskie prowadzą wzmożoną akcję werbunku ochotników spośród żołnierzy stacjonujących w Europie.**

☐ **Instytut Badania Opinii Publicznej przy moskiewskim dzienniku „Komsomolskaja Prawda" podjął badania ankietowe na temat wykorzystania wolnego czasu w Związku Radzieckim. W publikacji omawiającej wyniki ankiety socjolog Gruszyn wyróżnia następujące aspekty prowadzonych badań: faktyczną długość dnia pracy, czas poświęcony na przyjazdy do pracy, stan usług, faktyczna wielkość wolnego czasu. W konkluzji autor zapytuje: jakim wolnym czasem dysponuje obecnie człowiek? Czy czasu tego wystarcza, aby ludzie mogli zaspokoić swe najistotniejsze, stale rosnące potrzeby duchowe i fizyczne. Odpowiedź na powyższe pytanie jest następująca: „Głównym problemem wolnego czasu w naszym kraju jest jego brak".**

☐ — Czy zna się pan na podwójnej buchalterii? — zapytał dyrektor jednej z firm amerykańskich zaangażowanego do pracy księgowego.

— Znam nawet potrójną buchalterię, padła odpowiedź. Jedne dane dla dyrekcji, aby wykazać bieżące dochody, drugie dla akcjonariuszy, trzecie zaś dla urzędników państwowych z uwzględnieniem rozmiaru ponoszonych przez firmę strat.

☐ **Niektóre wyższe uczelnie radzieckie tytułem eksperymentu wprowadziły instytucję kandydatów na studentów. Rekrutują się oni spośród osób, które „przepadły" przy egzaminach konkursowych. Kandydaci ci uczęszczają w ciągu całego roku akademickiego na wykłady, ćwiczenia, zajęcia laboratoryjne, mają także prawo składania kolokwiów i egzaminów. Najzdolniejsi z nich zostają po roku przyjęci na miejsce studentów, którzy odpadli w ciągu pierwszego roku studiów. Kandydaci na studentów nie korzystają, oczywiście ani ze stypendiów, ani z miejsc w domach akademickich, dopóki nie uzyskają pełnych praw studenckich.**

☐ Na kopercie pisma skierowanego do władz jednego z angielskich miasteczek widniał adres: „Urząd do spraw grabieży w biały dzień". Nie trzeba dodawać, że list trafił do właściwej instytucji.

☐ **Amerykański tygodnik „U.S. News and World Report" niepokoi coraz poważniejszy problem korupcji w Wietnamie. Występuje ona w postaci łapownictwa, kradzieży, przekupstwa, przemytu itp. Urzędnicy amerykańscy uważają, że co najmniej 20 proc. towarów przechodzących przez port w Sajgonie staje się przedmiotem kradzieży. Tygodnik pisze, iż władze amerykańskie nie mogą podjąć energicznej akcji przeciwko korupcji z obawy przed... osłabieniem rządu wietnamskiego przez zarzucenie wielu jego członkom popełnienia tego typu przestępstw.**

☐ Żołnierze powinni wykazywać się nastrojami bojowymi. Do takiego wniosku doszli sajgońscy spece od propagandy, postanawiając dokonać przeglądu piosenek nadawanych przez południowowietnamskie rozgłośnie radiowe i usunąć z repertuaru rozgłośni te, które mogłyby szkodzić żołnierskiemu morale. Na „czarnej liście" znalazła się między innymi piosenka „Powiedz, co będzie ze mną jutro".

☐ **Premier Anglii Wilson rozpisał nowe wybory parlamentarne na dzień 31 marca br. Decyzja Wilsona spotkała się z wielu komentarzami prasy zachodnioeuropejskiej. Francuski dziennik „Les Echos" rozważając miniony okres rządów labourzystowskich w Anglii pisze, iż Wilson nie zrealizował „najbardziej socjalistycznych punktów swego programu", można go nazwać — zdaniem dziennika — „najlepszym premierem konserwatywnym".**

Zazdrość niszczy smak, pogarda cieniuje.

Francois Mauriac

☐ Amerykański ksiądz katolicki William H. DuBay wystąpił z propozycją powołania do życia związku zawodowego księży amerykańskich. Zadaniem związku będzie utworzenie w łonie kościoła instytucji przyjmującej skargi i zażalenia, stworzenie pragmatyki służbowej, która zapewni księżom prawo wypowiadania się przed zawieszeniem ich w czynnościach. „położenie kresu arbitralnym i szykanującym" przeniesieniom przez urzędników kancelarii archidiecezjalnej oraz zapewnienie swobody zamieszkiwania księżom w dowolnym miejscu.

☐ **Prezydent Jugosławii Józef Broz Tito charakteryzując obecną sytuację w świecie powiedział, iż nie jest ona dobra, wróg klasowy pod postacią imperializmu i klasy kapitalistów jest dziś w ofensywie na wszystkich frontach świata, posługując się pieniędzmi i zamachami stanu, gdzie indziej zaś stopniową infiltracją ideologiczną.**

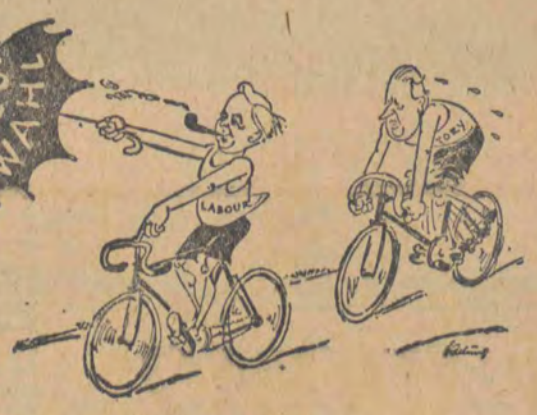

Nowe wybory.
(Die Welt)

Czas maszeruje szybko do przodu — oto jedno z najgłupszych przysłów w opętanej głupimi przysłowiami naszej epoce.

NOEL COWARD

☐ **Japońskie firmy stoczniowe otrzymały zamówienie na budowę tankowców o wyporności 250—280 tysięcy ton. Największym obecnie tankowcem świata jest „Tokio-Mary" o wyporności 150 tysięcy ton.**

BAJKA DLA GRZECZNYCH DZIECI

W stolicy pewnego państwa, nad rzeką, którą nazywają królową rzek tego kraju, mieszkał sobie pewien sławny kolarz. W literach nie czuł smaku, to prawda, ale za to kręcił nogami aż miło, głową również. A kiedy kręcił nogami, kiedy wpadał pierwszy na stadiony — przyrównywano go do narodowych bohaterów, z jego imieniem na ustach zasypiały dzieci, młodzież i dorośli, od pierwszych ludzi w kraju otrzymywał kwiaty. A kiedy pokręcił dobrze głową i zaczął sobie przywozić z zagranicy serie pamiątkowych zegarków — mianowano go w uznaniu zasług radnym miejskim w stolicy państwa, biorąc przy tym pod uwagę, nie tylko nogi i głowę, ale także jego wykształcenie sięgające, bądź co bądź, siedmiu oddziałów szkoły podstawowej.

Był także w tym państwie pewien bokser, który zamieszkał u stóp gór nazywanych Beskidem Śląskim, w mieście sławnym z dobrych tkanin wełnianych i filmów lalkowych. Ale najsławniejszy był jednak on, nie miał bowiem równego sobie przeciwnika. Mówiono, że dynamit kryje w pięściach, gdyż gromił bez trudu bokserów wielu krajów, a nawet kontynentów, gromił także i swoich współplemieńców na ulicy i w knajpie, nie wyłączając osób umundurowanych. Ale był to bokser jakiego rzadko spotkać, bokser indywidualista. Bił mianowicie kogo on chciał, a nie akurat tych, których mu polecano. Nie za darmo zresztą, za to bowiem, że kładł przeciwników płaciła publiczność i jemu także płacono. No, ale nasz bohater psuł szyki swoim dobrodziejom, obiecywał, że będzie bił tu, lecz bił tam. Wybaczano mu tę fantazję, człowiekowi, który ma dynamit w pięściach trzeba wybaczać. Fotografowano go częściej niż ministrów i częściej niż uczonych, wynalazców, czy pisarzy. Kiedyś, gdy go wieziono do wielkiego miasta, by tam bił za pieniądze, które płacą ludzie, wysiadł sobie po drodze z pociągu, gdyż — jak mówiłem — wielką miał fantazję. W uznaniu zasług przywdziewał koszulkę z godłem swojego kraju i za sprawą jego pięści orkiestra grała hymn narodowy.

W kraju, o którym mówię był pewien młody hokeista, bardzo nawet młody. Dobrze jeździł, dobrze strzelał bramki, ale najlepiej podkładał nogi swoim przeciwnikom i obrzucał błotem sędziów. W nagrodę wysłano go za granicę, oczywiście w koszulce z narodowym godłem. Za granicą też się dobrze spisywał, od razu podczas pierwszego meczu unieszkodliwił przeciwnika i spostponował sędziego. W uznaniu zasług przeznaczono go do reprezentowania kraju wobec najlepszych krajów.

Jeszcze nie koniec bajki. W tym kraju byli sobie także trenerzy. Bez trenerów nie ma sportowców, bez sportowców nie ma trenerów. A ci, o którym wam tu powiadam zajmowali się narciarstwem, inaczej mówiąc — trenowali narciarzy ku chwale ojczyzny. A, że byli biesiadni i towarzyscy to sobie przy pracy trochę popijali. Wszyscy pochodzili od gór, któż więc tedy, jeśli nie oni siłami samej natury, mogli być predestynowani do trenowania narciarzy? Trenowali więc często gęsto, a jeszcze częściej popijali. A jak trenowali? Bardzo prosto, bez akademii, bez szkoły, na zdrowy rozsądek. W ich rodzinach od niepamiętnych czasów wszyscy jeździli na nartach i jakoś to przecież było. Dlaczegóż nie miałoby być teraz? To, co pradziadek powiedział dziadkowi o jeździe na nartach, to dziadek powiedział ojcu, a znowuż ojciec powiedział trenerowi, a trener zawodnikom. A zawodnicy przegrywali gdziekolwiek się pojawili. Nie umieli skakać jak inni, więc przegrywali, biegać jak inni także nie umieli i znowu przegrywali. Nie umieli nawet smarować nart, a przecież smarowanie odgrywało wielką rolę w życiu sportowym tego kraju i na dobrą sprawę nikt nie powinien był tłumaczyć się nieumiejętnością smarowania. W uznaniu zasług trenerów... przepraszam, za wcześnie jest jeszcze o tym mówić, no ale to uznanie, jak zawsze wysokiej będzie rangi.

A teraz moral. Nie zmyśliłem tej bajeczki, istnieje takie państwo dziś. Cieszmy się więc my, wierni kibice płacący za bilety, budujący stadiony, lodowiska, boiska własnym sumptem, cieszmy się my, czytelnicy bogoojczyźnianego „Przeglądu Sportowego" wielu rubryk sportowych, wielu dzienników, słuchacze wielu stacji radiowych i telewizyjnych, cieszmy się, że to nie u nas.

Wiesław Jarosiński

O NAUCZANIU JĘZYKA POLSKIEGO W SZKOŁACH ŚREDNICH UWAG KILKA

alszy ciąg ze str. 1

ram jest zbyt przeładowany, a rzez to, że usiłuje załatwić zbyt wiele spraw naraz, nie spełnia swej podstawowej funkcji: uczenia mówienia i pisania po polsku w sposób kulturalny i precyzyjny. W dotychczasowym nauczaniu przeważa historia literatury nad samą literaturą. Więcej się mówi o pisarzu, okolicznościach, w jakich wypadło mu tworzyć, niż o dziele i jego walorach artystycznych. Uczeń zbyt dużo czasu poświęca na poznawanie tekstów średniowiecznych, renesansowych, czy siedemnastowiecznych, które chyba nie pomagają w należytym opanowaniu współczesnej polszczyzny, a nieporadność stylistyczna wielu prac klasowych wyraźnie wskazuje, że jest to zjawisko, którego bagatelizować nie wolno, bo staje się za częste. Dopóki problem traktowany jest pod kątem przydatności do „przekrojowej" rubryki żartów z tzw. zeszytów szkolnych — można go tolerować, ale, niestety, ze szkół wychodzą maturzyści, którzy nie umieją poprawnie mówić po polsku, studia kończą studenci, którzy znają swój zawód, za to nie znają swego języka ojczystego, w urzędach i na odpowiedzialnych stanowiskach pracują ludzie, którym sprawia trudność właściwe wyrażenie tego, o czym myślą — i to już nie jest temat do żartów. Ze względu na to, że materiał historyczno-literacki, zwłaszcza w klasach X i XI jest bardzo obszerny, nauczyciele chcąc być w zgodzie z programem, najczęściej opanowują go bez cięć, ale za to kosztem gramatyki. Na ortografię w ogóle nie ma miejsca w klasach starszych. Jeżeli mimo to poloniści robią ćwiczenia ortograficzne, np. w klasie jedenastej, to czynią to z kolei wbrew oficjalnym przepisom. W metodyce nauczania gramatyki również tkwi sporo błędów. Niektóre działy gramatyki, jak np. fonetyka, są zbyt rozbudowane i obciążają pamięć zbędną terminologią. Wątpliwe, czy kiedykolwiek inżynierowi przyda się wiadomość, że głoska „H" jest tylnojęzykowa, szczelinowa... Piszącemu te słowa udało się dowiedzieć o tym dopiero na studiach polonistycznych. Innym problemem jest zła jakość niektórych podręczników wprowadzonych do liceum, jak np. Wierzbicki (brak dobrych ćwiczeń), ale nawet i tych podręczników uczniowie nie mogą dostać z różnych względów. Dlatego nauczyciel w konsekwencji skazany jest na improwizację. Dziwne, że szkoły zawodowe umiały zapewnić sobie współpracę tak doskonałego metodyka, jak Mieczysław Pęcherski, a w liceach młodzież nie ma z czego się uczyć. W jakim kierunku powinny pójść zmiany w programie?

■ Ograniczyć literaturę staropolską a nawet romantyczną, wprowadzić natomiast dużo pozycji literatury współczesnej, nawet traktujących o dawnych czasach czy pisarzach (np. „Portret Słowackiego" P. Hertza), ale pisanych piękną nowoczesną polszczyzną i mówiących o sprawach bliskich dzisiejszemu czytelnikowi — przede wszystkim. Nie znaczy to, aby w ogóle pomijać wielkie dzieła literatury polskiej, powstałe w przeszłości, ale chyba ze względu na dobro sprawy, należałoby doprowadzić do rozsądnego ich wyboru, a czas przez to uzyskany poświęcić na ćwiczenia stylistyczne, słownikowe i gramatyczne.

■ W programie powinny być przewidziane elementy poznawania najbliższego regionu. Gdyby ktoś zapytał, jak nauczyciele na przykład zapoznają młodzież z literaturą o tematyce łódzkiej, lub co mówią jej o pisarzach, związanych z Łodzią, niewiele byłoby na ten temat do powiedzenia. Jeden Tuwim, czasem „Łódź" Broniewskiego, wzmianka o „Ziemi obiecanej" Reymonta — to wszystko.

Gdyby z kolei jakiś zakochany w swym mieście nauczyciel postanowił zapoznać młodzież ze środowiskiem twórczym Łodzi, dać wiersze Piechala, Timofiejewa, Kasprowicza (Antoniego), Safrina, Gicgiera czy Koprowskiego, omówić powieść Jaździńskiego, Rymkiewicza czy Łobody — po prostu nie miałby na to czasu ani możliwości.

I to jest znowu źle. Młodzież powinna poznawać ludzi i sprawy z własnego kręgu kulturowego również.

■ Nauczanie gramatyki dawałoby znakomite rezultaty, gdyby ograniczyć ją do czystego praktycznego stosowania zasad w celu dobrego opanowania języka, łączyć z ortografią, wprowadzić świetne ćwiczenia np. Pęcherskiego i ćwiczyć, dużo ćwiczyć.

■ Bezwzględnie powinno się wprowadzić zajęcia z zakresu estetyki i znajomości filmu, kształcące wrażliwość odbiorcy i jego zrozumienie języka, jakim posługuje się film. To samo zresztą dotyczy telewizji. Te najpotężniejsze w dobie obecnej środki przekazu muszą być znane i rozumiane przez młodzież, a z tym w tej chwili wcale nie jest dobrze. Szkoły winny dysponować w większym zakresie możliwościami posługiwania się w procesie nauczania projektorem, rzutnikiem, radiem czy telewizorem, ponieważ obecnie z różnych powodów (mała ilość projektorów, niedostateczna ilość kopii filmowych w Filmosie, brak filmów „literackich", nie przeszkoleni w korzystaniu z tego rodzaju pomocy nauczyciele) sprawa ta nie daje powodów do zadowolenia.

■ Na zakończenie należałoby zabiegać u władz miejskich o nareszcie rozsądną decyzję w sprawie abonamentów teatralnych w naszym mieście. Młodzież powinna mieć zabezpieczone ulgi w nabywaniu biletów stale i chodzić do teatrów na sztuki wybrane przez nauczycieli i przydatne jej w nauce, a nie na takie, które albo ze względu na różnice wieku i w poziomie umysłowym (VIII i XI klasy), albo ze względu na ich wątpliwe walory artystyczne, są dla nich nieodpowiednie.

Na pewno wiele z przedstawionych tu myśli wyda się niektórym nauczycielom nierealne czy wręcz obrazoburcze, ale czy czasem po namyśle nie przyznają im racji? Przynajmniej częściowo?

Naprawdę piękna to rzecz jędrna staropolska polszczyzna Reja czy Potockiego, ale czy czasem nie lepiej choćby częściowo zrezygnować z niej tylko po to, aby ludzie, wychodzący ze szkoły z dyplomem w kieszeni, pisali poprawnie podania o przyjęcie do pracy i zdawali sobie sprawę z ogromnej rożnicy pomiędzy „La stradą" Felliniego a „Hrabią Monte Christo" np.?

* * *

W prasie pojawiły się notatki, informujące o zakończeniu prac nad nowym programem nauczania języka polskiego w zreformowanych liceach ogólnokształcących. Program ten obowiązywać ma na razie na zasadzie eksperymentu w latach 1966/70. Przyznam się szczerze, że czytałem tę informację z mieszanymi uczuciami.

Oto za rok nauczyciele w całym kraju mają otrzymać do realizacji nowe metodyczne opracowanie programu — i to jest dobre, bo dawne domagało się gruntownej korekty, ale z kolei musi niepokoić pytanie: co się za tymi zmianami kryje? I to jest źle. Źle, że ogół nauczycielski nie ma pojęcia, w jakim kierunku dokonano zmian.

Nikt jakoś nie pokusił się o przeprowadzenie publicznej dyskusji nad projektami nowych opracowań dla poszczególnych klas. Stąd nauczyciele o swojej przyszłej pracy wiedzą nieledwie tyle samo, co rodzice przyszłych licealistów. Wiadomo jedynie, że w czwartej klasie nowego typu zostanie dokonany podział na klasy humanistyczne, fizyczno-matematyczne i przyrodniczo-matematyczne, zależnie od zamiłowań i uzdolnień uczniów. Pomysł to nienowy, bo już przed wojną istniały tego typu licea, ale chyba wart uznania.

Drugą zasadniczą zmianą, znaną już dziś, jest zmniejszenie ilości godzin nauczania z 5 do 4 tygodniowo. Przy obecnym wymiarze godzin istnieją poważne kłopoty z przygotowaniem wszystkich uczniów do matur w zakresie, wymaganym przez program. Ciekawe zatem, jak to będzie wyglądało po skróceniu czasu przeznaczonego na naukę? Szkoły podstawowe długo jeszcze nie będą w stanie wykonać nałożonych na nie zadań po prostu ze względu na brak odpowiednio przygotowanych do tego nauczycieli. Dopóki nie skończy się ze szkodliwym ze wszech miar poglądem, że każdy nauczyciel nadaje się do prowadzenia zajęć z języka polskiego, to, niestety, w szkołach średnich nadal uczniów uczyć się będzie ortografii i budowania jako tako poprawnych zdań, zamiast rozważać piękno mickiewiczowskiego języka w „Panu Tadeuszu", czy rolę motywów starożytnych we fraszkach Jana Kochanowskiego, nie mówiąc już w ogóle, o tak abstrakcyjnych pojęciach, jak np. umuzykalnienie, czy też różnice między sztuką baroku a Odrodzenia...

Reforma — choćby w założeniu najlepsza — pozostanie tylko pomysłem, nie sprawdzającym się w praktyce, jeśli nie pociągnie za sobą istotnych zmian w treści nauczania (ale nie kosztem godzin) i w organizacji samych szkół — i o tym warto pamiętać.

JULIAN RADWAŃSKI

Z teki WACŁAWA KONDKA

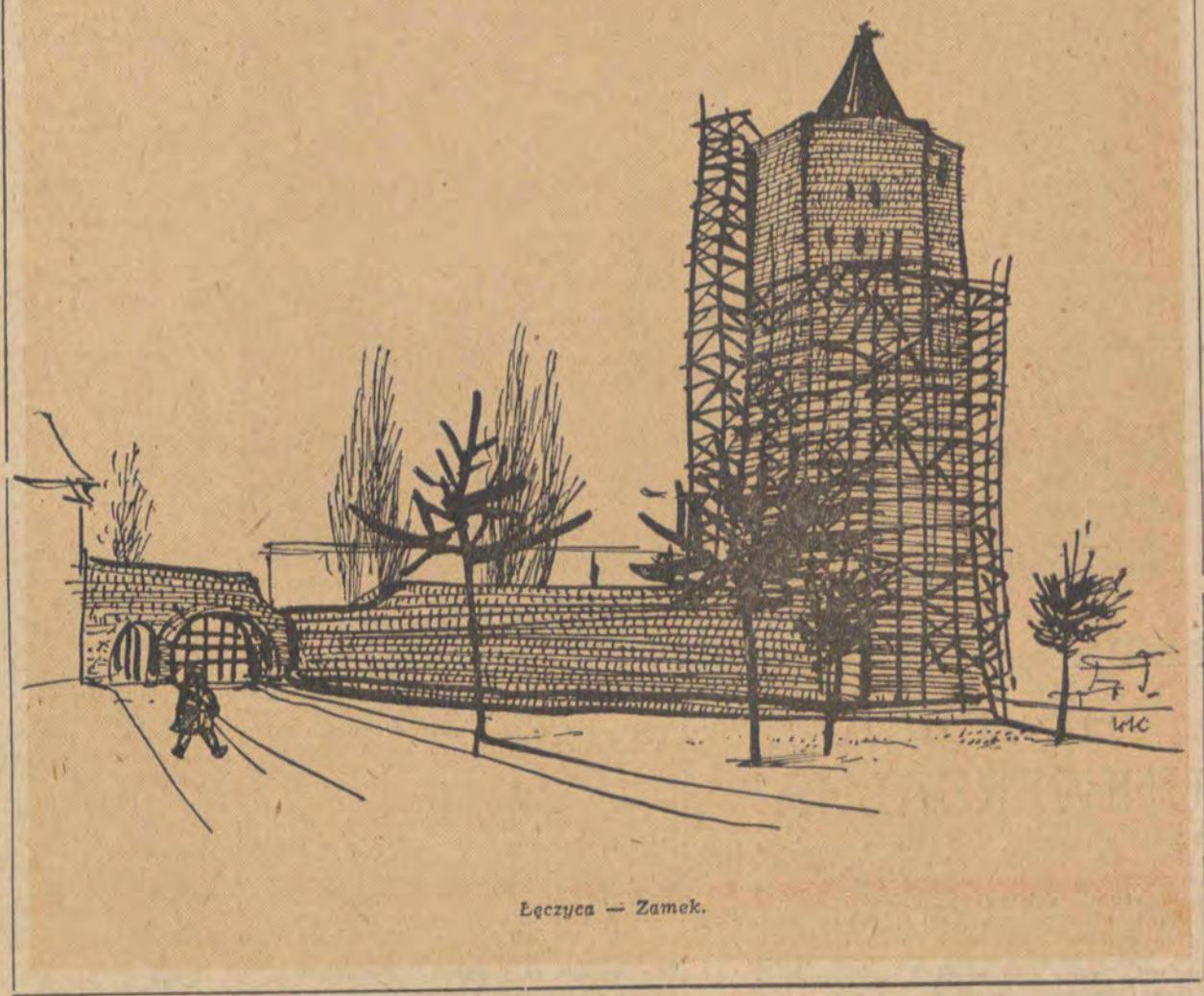

Łęczyca — Zamek.

JANINA KRZYWOPISZYNA

KLASA ÓSMA

O zamierzonej reformie szkolnej, której „klasą ósmą" nazywano krótko „klasą ósmą", mówiono już od kilku lat. Opinie zainteresowanych były podzielone, rodzice których dzieci umykały już reformie, oddychali z ulgą. Na podstawie 37 art. ust. 1 ustawy z dnia 15 lipca 1961 roku o rozwoju systemu oświaty i wychowania" wprowadzony został program ośmioletniej szkoły podstawowej.

Konieczność przedłużenia obowiązku szkolnego narzuciło życie, mówiąc z emfazą — jest to potrzeba chwili. Wywołana ona została przez rozwój naszej gospodarki, kultury, konieczność przyspieszenia postępu technicznego i wobec tego nadążania za coraz wyższymi i coraz bardziej skomplikowanymi wymaganiami.

Reforma jest bezsprzecznie postępem w dziejach naszego szkolnictwa i oświaty, tym niemniej poród jest ciężki i wymagający wielu, wielu istotnych zabiegów. Przed władzami oświaty wyłoniły się poważne zagadnienia organizacyjne, a przed nauczycielstwem trudności dnia codziennego, trudności realizowania programu.

Jak to wygląda w Łodzi od strony organizacyjnej? Przed jakimi problemami znalazło się Kuratorium i Inspektoraty Oświaty po ustawie z 1961 roku? W jakim stopniu te problemy zostały rozwiązane jako, że na jesieni w roku szkolnym 1966/67 klasa ósma przybierze kształt realny w szkołach podstawowych, natomiast zdematerializuje się w liceach ogólnokształcących?

W Łodzi na 150 szkół istniejących obecnie zaplanowano klasę ósmą w 142 szkołach, ogółem klas ósmych będzie 263, utworzenie dalszych przewiduje się w roku następnym. Czym się kierowano, jaką przyjęto zasadę ustalając tę liczbę klas ósmych! Gdzie kuratorium widzi rzeszę młodzieży kończącą klasę siódmą?

Według podanych mi liczb wygląda to następująco: **na przewidzianych 13.800 absolwentów planuje się, że 8.200 przejdzie do zreformowanej klasy ósmej, 5.800 do szkół zawodowych zasadniczych i techników, w tej liczbie znajdzie się przede wszystkim młodzież 14-letnia i starsza.** Te proporcje nie są utrzymane w sztywnych ramach np. uczniowie, którzy nie złożą egzaminu do szkoły zawodowej lub nie dostaną się ze względu na brak miejsc będą musieli wrócić do klasy ósmej. Ponieważ likwiduje się klasy ósme w liceach ogólnokształcących, co będą robili repetenci? To pytanie wywołało duże zaniepokojenie wśród rodziców, którzy nie liczą na pomyślną cenzurę swego dziecka w czerwcu. Jak mnie poinformowano jest konkretny projekt zorganizowania dla repetentów zbiorczych klas ósmych przy wytypowanych liceach, gdzie będzie obowiązywał dotychczasowy program lub mogą uczęszczać do klas ósmych zreformowanych. Po uzyskaniu promocji repetenci mogą przejść do I klasy zreformowanego LO. Ciekawe, jak w związku z wprowadzeniem reformy przeobrażać się będzie struktura liceów ogólnokształcących?

Zmniejszy się ilość uczniów I klas, te spadkowe tendencje będą widoczne przez cztery kolejne lata, jak się będą dokonywały przesunięcia zilustruje załączona tabelka.

1965/66	**klasy**	**VIII**	**IX**	**X**	**XI**
1966/67	**„**	**—**	**IX**	**X**	**XI**
1967/68	**„**	**I**	**—**	**X**	**XI**
1968/69	**„**	**I**	**II**	**—**	**XI**
1969/70	**„**	**I**	**II**	**III**	**—**
1970/71	**„**	**I**	**II**	**III**	**IV**

W tym typie szkolnictwa poprawią się warunki lokalowe, ale te zmiany spowodują „nadwyżkę" nauczycieli. Władze oświatowe przewidują, że część nauczycieli skierowana będzie do klas V—VIII szkoły podstawowej oraz do szkół innego typu.

To tak w dużym skrócie wygląda szkic kilkuletniej, żmudnej pracy nad planowaniem, uzgadnianiem itd. spraw organizacyjnych.

Aby reforma wydała dobre owoce, spełniła pokładane w niej nadzieje, muszą być spełnione jeszcze dwa zasadnicze warunki. Myślę o pomocach naukowych, wyposażeniu w sprzęt i urządzenia oraz o kadrze nauczycieli specjalistów.

Może najpierw o bazie materiałowej.

Na wstępie należy stwierdzić, że materialne zaopatrzenie w szkolnictwie łódzkim ma od dłuższego czasu tendencje zwyżkująca, ulega stale poprawie i to zarówno w modernizacji sprzętu, jak i w wyposażeniu w pomoce naukowe, **np. wszystkie szkoły mają dźwiękową aparaturę filmową, rzutniki, epidia skopy, wiele szkół posiada magnetofony i telewizory itp.**

Na unowocześnienie procesu lekcyjnego oraz kształcenie politechniczne wydano w ubiegłym roku szkolnym **6.400.000 złotych.** Te zabiegi miały na względzie przede wszystkim stworzenie warunków do prawidłowego zorganizowania roku szkolnego 1966/67.

W założeniach programowych czytamy: „Szczególne znaczenie w realizacji programu mają lekcje o charakterze ćwiczeń laboratoryjnych oraz lekcje prowadzone w pracowniach, warsztatach szkolnych, i fabrycznych, na działkach itd.".

Program bardzo rozległy, mimo wszystko wydaje się, że nasze ambitne Kuratorium stanie w obliczu świętej wojny o dofinansowywanie, a co energiczniejsze kierownictwa wykopią topór wojenny przeciwko Cezasowi. Cezas, jedyna instytucja zaopatrująca szkoły w pomoce naukowe nie nadąża, zasłaniając się trudnościami produkcyjnymi. Co więcej, nie wiem czy lepiej, czy gorzej, co bardziej robi złą krew, szkoły dysponują zazwyczaj potrzebnymi funduszami na zakup zestawów pomocy naukowych i muszą się bez nich obywać, bo Cezas nie ma. Wydaje się, że ten stan rzeczy powinien szybko ulec radykalnej zmianie.

O właściwym przebiegu reformy szkolnej zadecyduje ostatecznie kadra nauczycielska. W planach swego działania Kuratorium wychodzi z założenia, że każdy nauczyciel, który podejmie pracę w zreformowanej klasie szkoły podstawowej, musi przejść specjalistyczne przeszkolenie.

W związku z tym Okręgowy Ośrodek Metodyczny dla każdego przedmiotu organizuje miesięczne kursy w ciągu roku, nadto zostało zorganizowane pogotowie metodyczne, w którym dyżurują pracownicy Ośrodka.

Ciekawą i cenną inicjatywę podjęło Kuratorium z byłym ośrodkiem metodycznym **w zakresie współpracy dydaktyczno-metodycznej z katedrami wyższych uczelni.**

Według stanu z bieżącego roku szkolnego sytuacja w zakresie dokształcania kadry pedagogicznej w szkołach podstawowych przedstawia się następująco: na 1.216 nauczycieli ze średnim wykształceniem pedagogicznym dokształca się 715 osób.

Na uwagę w pracach przygotowawczych Kuratorium do realizacji reform zasługuje powołanie przy UŁ 4-letniego Wieczorowego Studium Matematycznego, które dostarczy pełnokwalifikowanej kadry do prowadzenia matematyki w szkołach.

Na to studium są kierowani nauczyciele przynajmniej z dwuletnim stażem pracy — absolwenci SN.

Kuratorium przewiduje, że do 1970 roku wszyscy nauczyciele w szkołach podstawowych uzyskają co najmniej tzw. półwyższe wykształcenie.

To nie jest obraz pesymistyczny.

Wydaje się, że potrzebna jest szeroka informacja wśród rodziców i dzieci o zasadach ośmioletniej szkoły, o zasadach przyjmowania uczniów do szkół zasadniczych i techników. Ósmy rok szkoły podstawowej obejmie młodzież 13—14-letnią, która przez ten rok dorastania łatwiej zdobędzie się na jakąś preorientację co do dalszego kierunku nauki, lub zawodu, nie należy zapominać, że bardzo dużo tych właśnie 13—14-latków, to była „młodzież niczyja", dalej się nie uczyli z różnych przyczyn, do pracy byli za młodzi, rezultaty są nam aż nadto dobrze znane. Niektóre państwa stosują obowiązek szkolny do 16 roku życia, tutaj jeszcze ten rocznik wymyka się nam.

Leszek Rózga — Megalomania

HENRYK KATZ

HISTORIA UNIWERSALNA?

Jeden z tematów, nad którym rozwinęła się ożywiona dyskusja na odbytym niedawno (wrzesień 1965) kongresie historycznym w Wiedniu, dotyczył koncepcji i planów historii uniwersalnej. Sam przebieg kongresu dostarczał dowodów co do trudności, lub wręcz niemożliwości koncepcji takiej historii. Tylko dwa posiedzenia, inauguracyjne i końcowe (a więc najbardziej formalne), miały charakter plenarny, inne odbywały się w licznych sekcjach. Nawet najciekawsze i najbardziej ogólne tematy posiedzeń (te w szczególności, które były poświęcone zagadnieniom metodologicznym) przyciągały 300—400 osób, a więc 10—12 procent wszystkich uczestników. Przejawiała się w tym daleko posunięta specjalizacja i postępująca autonomizacja poszczególnych dziedzin wiedzy, które wciąż obejmuje się wspólną nazwą „historia". Dawno już wyodrębniły się jako osobne przedmioty: historia literatury, historia sztuki, historia państwa i prawa. Dobiega końca proces pełnego usamodzielnienia się przedmiotu historii gospodarczej, co znalazło m. in. wyraz w poprzedzeniu kongresu w Wiedniu odrębnym kongresem historyków gospodarczych w Monachium. Uprawia się od lat dziedzinę wiedzy, którą nazywa się „historią społeczną", choć termin ten jest różnie rozumiany w różnych rejonach świata. Wyodrębniają się historia sztuki wojennej, historia techniki, historia nauki. Czyżby więc z „historii" nie miało pozostać nic prócz historii politycznej? Ale nawet z tak ciasno rozumianego pojęcia historii wyodrębniają się pewne wątki, jak np. historia dyplomacji i stosunków międzynarodowych, albo historia myśli politycznej, albo historia ruchu robotniczego. By nie było nieporozumień, niech nam będzie wolno tłumaczyć, że nie chodzi bynajmniej o jakieś rozległe obszary tematyczne (jak np. historia Oświecenia, albo historia drugiej wojny światowej), które mieszczą się wewnątrz poszczególnych przedmiotów historycznych, a których ilość rośnie w postępie geometrycznym — co stanowi zresztą problem dla siebie; chodzi o dezintegrację tego ogromnego tworzywa, które kiedyś zaliczano do potocznie pojmowanego przedmiotu historii, a wewnątrz którego krystalizują się, lub skrystalizowały się odrębne przedmioty mające swą własną sferę i metody badań, odrębną problematykę, specyficzne źródła, a nawet tworzące sobie swój własny aparat pojęciowy.

Jakiż to ma związek z problemami historii uniwersalnej? Historia pojęta uniwersalnie musi scalić ogromną i wciąż rosnącą wiedzę o społeczeństwach ludzkich zarówno w wymiarze czasowym, jak i przestrzennym. Znalezienie odpowiednich kryteriów, umożliwiających obiektywne i ścisłe (na tyle, na ile to w historiografii jest możliwe) scalenie wiedzy w tych dwóch wymiarach jest zadaniem ogromnie trudnym, z którym borykano się w ciągu długiego czasu. W czasach obecnych zbliżamy się i oddalamy jednocześnie od możliwości sprostania takiemu zadaniu. Wiemy o wiele więcej niż którekolwiek poprzednie pokolenie o przeszłości, lecz równocześnie rozszerzają się ogromnie wymiary czasu i przestrzeni. Historia zagarnia coraz bardziej teren ongiś traktowany jako „prehistoria", a z drugiej strony śmielej zajmuje się tym, czego unikali tradycyjni badacze, a mianowicie historią najnowszą i współczesną, gorliwie uprawianą tak na Wschodzie (nowaja istoria), jak i na Zachodzie (Zeitgeschichte, Contemporary History). Pogrążony, przynajmniej teoretycznie, został „europocentryzm", powszechnie zdajemy sobie sprawę z osiągnięć i wkładu do kultury ludzkiej społeczeństw pozaeuropejskich w dalszej i bliższej przeszłości. Dobrze rozumiemy niemożliwość traktowania historii ogromnych obszarów świata jako dziejów dyfuzji europejskich wpływów politycznych i kulturalnych; niemożliwe jest to w epoce ONZ, niemożliwe, jeśli historia uniwersalna, którą chcielibyśmy stworzyć, byłaby do przyjęcia nie tylko dla Francuza, Polaka i Amerykanina, ale i dla Sudańczyka, meksykańskiego Indianina, czy Wietnamczyka. W tym więc sensie rozumieć należy ów wzrost trudności przy uwzględnianiu w naszej koncepcji historii obu tych wymiarów, choć dysponujemy o wiele rozleglejszymi niż dawniej środkami, by zadania tego dokonać.

Ale w pełni dopiero obecnie ujawnia się ów trzeci wymiar, idący w głąb, ukazujący nam coraz to inną warstwę każdej określonej sytuacji historycznej, każdego określonego społeczeństwa. Pisanie historii uniwersalnej było o wiele łatwiejsze, gdy ów wymiar był jednowarstwowy i płytki. Już 150—200 lat temu wyłaniały się silnie ważne aspekty dziejów ludzkich — kultura duchowa, produkcja, klasy społeczne, lecz jeszcze w minionym pokoleniu, jeszcze dzisiaj w pewnych granicach, w szczególności w upowszechnianiu i w nauczaniu historii, dominuje owa jedna warstwa, w której układa się poczet władców i dynastii, ciąg wojen, zmienne losy stosunków z sąsiadami itp. Historiografia naukowa w skali światowej w zasadzie przezwyciężyła owo płytkie pojmowanie społeczeństwa, a jego wielowarstwowość badają i poznają coraz lepiej również inne dziedziny humanistyki. By więc w historii uniwersalnej scalić owe elementy materialnego i duchowego rozwoju społeczeństwa, należy ująć je w jednolitą strukturę, należy uchwycić ich wzajemne związki, odnaleźć klucz do pewnej hierarchii w ramach tej struktury. Zadanie zaiste ogromne, wprowadzające od razu historiografię w wir wielkich dyskusji metodologicznych i teoretycznych.

Wróćmy jednak do kongresu w Wiedniu. Koncepcja historii uniwersalnej w pojmowaniu głównego referenta tej sprawy L. Gottschalka (profesora Uniwersytetu w Chicago) i niektórych dyskutantów na kongresie wiedeńskim, zawierała w sobie postulat stworzenia jakiegoś monumentalnego dzieła, które byłoby ulepszeniem dzieł już istniejących (jak np. niemiecka Propyläengeschichte, czy radziecka Istoria mira) i które mogłoby spotkać się z pozytywnym przyjęciem we wszystkich (lub prawie wszystkich) krajach świata. Gdyby można dzieło takie stworzyć, powstałby ważny czynnik wpływu na światopogląd i kulturę ludzkości w duchu wzajemnego zrozumienia i porozumienia. Gdyby ludzie dzieło takie organizujący i tworzący mogli pogodzić się co do najbardziej podstawowych zasad, zarówno naukowych jak i ideowych, program ten nabrałby barw życia.

Nasuwa się jednak ogrom wątpliwości. Po pierwsze — czy naprawdę historycy, ci najwybitniejsi (bo zakładamy, że tylko oni braliby udział w realizacji), pogodziliby się co do kryteriów ważności i zasad selekcji tematyki, terminologii itp. Większe jeszcze wątpliwości budzi sprawa zasad ideowych. Historycy współcześni (nie licząc pewnego marginesu) na ogół skłonni są uznać jako wspólne pewne zasady humanizmu i racjonalizmu, uznają na ogół prymat prawdy i dążenie do jej ustalenia jako powszechnie obowiązujące i nadrzędne wobec wszelkich innych względów, którymi kierować mogliby się w swych pracach. Lecz w praktyce warsztatów historycznych i w ich produkcji pokazać można bez trudu jak silnie owe „inne względy" ciążą na doborze tematyki, doborze faktów, i ich interpretacji. Owe „inne względy" mogą być nawet bardzo szlachetnej natury, niejeden badacz i pisarz działa pod ich ciśnieniem, przekonany o swej wolności od nich, niemniej istnieją one i ciążą. Nie można zresztą odrzucać ich a limine. Czy historiografia, spełniając określone funkcje poznawcze, jest w stanie uwolnić się od funkcji politycznych, wychowawczych, a nawet estetycznych?

Można sobie wyobrazić, że redakcja owego projektowanego monumentalnego dzieła kierując się zasadami „pokojowego współistnienia" poleciłaby opracowanie poszczególnych części wybitnym specjalistom, tak że Amerykanin np. opracowałby dzieje kolonizacji swego kontynentu, a Arab dzieje podboju muzułmańskiego. Lecz czy nie byłoby wielu kontrkandydatów gotowych ujmować owe sprawy odmiennie? A jak poradzić sobie np. z wojnami napoleońskimi, albo pierwszą i drugą wojną światową, rewolucjami we Francji czy w Rosji? Ileż to kontrowersji prowadzą ze sobą historycy poszczególnych krajów w kluczowych sprawach swej historii.

Załóżmy jednak, że przy dobrej woli wielu ludzi i poparciu odpowiednich organizacji (np. UNESCO) dzieło takie faktycznie powstałoby.

Obawiać się należy, że otrzymalibyśmy w rezultacie jakiś stwór eklektyczny i niestrawny. Działo to jak wiele innych tego rodzaju kolektywnych przedsięwzięć zdobiłoby biblioteki i rzadko byłoby czytane. Czyżby więc nic konstruktywnego nie mogło powstać w tym zakresie? Mogę sobie wyobrazić dwojakiego rodzaju dzieła, które spełniłyby znacznie lepiej zadania owej wielkiej syntezy niż powyżej omówiony i (krytykowany) projekt wydawnictwa. Wyobrażam sobie, że świetny pisarz o dobrym zmyśle historycznym, pisarz, który nie pożałowałby trudu odpowiednich studiów, poradziłby sobie — jak przed kilkudziesięciu laty G. D. H. Wells, czy w bardziej ograniczonym zakresie Hendrik van Loon — z zadaniem jednotomowej syntezy historii świata. Usterki naukowe przezwyciężyłaby odpowiednia konsultacja i krytyka, zaś dzieło takie uzyskując jedność poglądów i stylu autora, stałoby się czytelne i uzyskałoby odpowiedni i pożądany wpływ. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby trud taki podjęło kilku pisarzy, silnie różniących się światopoglądem, stylem, temperamentem pisarskim, gatunkiem mądrości, rodzajem swych sympatii, systemem swych wartości.

Można wyobrazić sobie i inne równoległe wydawnictwo, które w o wiele większym stopniu reprezentowałoby stan nauki, jego najlepsze osiągnięcia, bez eklektyzmu i nieuniknionej nudy pierwszego przedsięwzięcia. Byłaby to realizacja szeregu (50 może 100) monografii dotyczących najważniejszych i najbardziej jednocześnie kontrowersyjnych tematów historii światowej. We wstępie każdej znalazłaby się skondensowana informacja faktograficzna i chronologia, przedstawienie ustalonych wyników wiedzy oraz zarys spraw spornych. Fachowcy i antagoniści jednocześnie przedstawiliby w szeregu artykułów (esejów) swe osiągnięcia i kontrowersyjne poglądy. Proszę pomyśleć o jakimkolwiek tego rodzaju ważnym, a obchodzącym nas temacie (np. geneza drugiej wojny światowej), by zdać sobie sprawę z potencjalnych możliwości i pożytków takiego przedsięwzięcia. Czyż takie forum dyskusji i ustalenia prawdy nie wyklarowałoby istotnych różnic w poglądach na świat i człowieka, nie pomogłoby w zbliżeniu do siebie ludzi różnych krajów i kontynentów, różnych systemów, przekonań i wiary? Czy nie w tym właśnie leży głębszy sens i cel historii uniwersalnej?

AS WYWIADU O SOBIE

Rudolf Abel — słynny as w du radzieckiego ponad 30 lat poświęcił tej niebezpiecznej s W czasie ostatniej podróży s wej do Stanów Zjednoczony skutek zdrady, Abel zostaje przez agentów FBI i osądzon 30 lat więzienia. Nie udają się przekupienia Abla i zwerbowa do wywiadu amerykańskiego z 10 tysięcy dolarów rocznie. W zieniu spędził cztery lata i miesięcy. Został wymieniony n nika Powersa, który na sam U-2 był strącony nad teryt radzieckim.

W ostatnim numerze miesięc „Młody komunista" ukazało wspomnienie Rudolfa Abla, k obszerne fragmenty zamiesz poniżej.

Sukces pracy wywiadowczej z i całkowicie zależy od tego, jaki drami dysponuje wywiad. Do pr wywiadzie idą z wielką ochotą i świadomością o jej ważności i zna najlepsi przedstawiciele młodzieży. kazują oni wyjątkową upartość i w łość w osiągnięciu wytkniętego przejmując doświadczenia od st mistrzów. Wiadomo, że wywiadowc pada działać we wrogim środowisk rażając bez przerwy swe życie. ność i wielostronny charakter zada rozwiązaniem których pracują ra wywiadowcy, wymaga twórczego wania teorii marksistowsko-leninow precyzyjnej orientacji w sytuacji po nej, umiejętności wytłumaczenia ki naszej partii i rządu, przekon o jej prawidłowości. Wywiadowca nien mieć dobre ogólnokształcące gotowanie, szeroki horyzont i zna języki.

Warunki pracy i otoczenie w k kapitalistycznych zobowiązują w dowcę do czujności i dokładnego strzegania zasad konspiracji. Oddan czyźnie, uczciwość i zdyscyplino poświęcenie, przytomność umysłu, jętność przezwyciężania trudności dostatków, skromność — tak oto stawia się o wiele jeszcze niepełn kaz praktycznych, politycznych i tych cech prawdziwego wywiadowcy wiad — to nie przygoda, nie jakieś ki trickowe, nie wesołe podróże nicę, a przede wszystkim żmudna ka praca wymagająca wielkich wys naprężenia, upartości, wytrzymałoś nej woli, poważnych wiadomości i nego mistrzostwa. Pamiętacie jak Dzierżyński? „Czyste ręce, chłodna i gorące serce..."

W tych skąpych, lecz dokładnych wach zawarty został wyjątkowo sens. Są one, jeśli chcecie, swoje dzaju kompasem dla wywiadowc pomagają znajdować siłę i męstwo dej sytuacji. Przekonałem się o t własnym przykładzie w czasie mej niej podróży służbowej do USA, to w wyniku zdrady wypadło mi

WIADOMO Stolica

Dalszy ciąg ze str. 1

miasto, z marmuru i żelaza, i z tych wszystkich rodzajowych scenek, których gdzie indziej zobaczyć nie można. W czasy pik, czyli w godzinie szczytu rodzą się wątpliwości, które miasto jest pierwsze: to z kopułami cerkwi i mostami na rzece Moskwie, czy też to podziemne, huczące kołami pociągów elektrycznych, miasto w rozjeździe.

Ruch wahadłowy ruchomych schodów, w górę i w dół, zatrzymani na eskalatorze ludzie w pozie jakiegoś dziwnego oczekiwania, kamienne perony, dziewczyna w kolejarskiej czapce z lizakiem dyżurnego ruchu w ręce, który wydaje się niesamowitym anachronizmem na tle tej technicznej i organizacyjnej doskonałości metra. Wreszcie tłum — tłum, którego się nie spotka nawet przy wyjściach ze stadionów, wprost nie tłum, tylko całe miasto, cała Moskwa, gdzieś tam śpiesząca, wracająca do domów, Moskwa zaspana, Moskwa zmęczona, Moskwa podchmielona po wypłacie. W czasy pik nikt już nie będzie wątpił, że to miasto liczy sobie siedem milionów mieszkańców.

Potem znowu moskiewskie ulice, dla Polaka nawet jakieś swojskie: ten sam, co na warszawskim MDM architektoniczny i plastyczny eklektyzm stylów. Ulice sprawiają wrażenie parterowych, choć domy z reguły osiągają dziesięć pięter, ale przy tej szerokości jezdni i chodników to nieuniknione, a wyizolowane z ogólnej zabudowy wysokościowce jeszcze podkreślają to optyczne kłamstwo.

Ludzie z mojej branży uważają za swój obowiązek jeździć do Pieriedielkina, stanowiącego przedłużenie Moskwy literackiej, do willowego Pieriedielkina i na grób Borysa Pasternaka. Nie pojechałem do Pieriedielkina, nie wybrałem się także na jeden z moskiewskich cmentarzy, gdzie pod kamienną płytą spoczywa Jesienin, uważany przez młodzież za największego poetę Rosji. Zrezygnowałem z literackich świętości Moskwy, bo jest ich tutaj po prostu za dużo, a wybieranie i wartościowanie ich, wszystkiego przecież zobaczyć nie można, wydało mi się po prostu niemądre. Świat „literatów" czyli pisarzy zastąpił mi obiad w ich klubie przy ul. Hercena, gdzie jest drogo, i gdzie się czeka tak samo długo, jak w innych, mniej ekskluzywnych restauracjach Moskwy. Świat literacki zastąpiła mi także pogwarka z przypadkowo poznanym hutnikiem Miszą, który przez dwie godziny w kawiarni „Romantyka" zamęczał mnie recytacjami wierszy Jesienina, zapytując za każdym razem, czy zgodzę się z nim, że Majakowski jest przy Jesieninie grafomanem, co mnie wprawiło w zakłopotanie, którego, niestety, nie potrafiłem ukryć.

Usiłowałem więc przenieść temat rozmowy już nie na mody literackie, tylko po prostu na modę. Misza, który czuł się gospodarzem, taktownie podkreślił, że chodzi w polskim garniturze z elany. Polska konfekcja tu uważana za szczyt elegancji, nawet polskie buty cieszą się powodzeniem daleko od Moskwy, na prowincji. Może nie podkreślał tego, że Moskwa ubiera w polską konfekcję, gdyby nie fakt, wydaje mi się w jakiś sposób ważny, fekcja dostarczana jest poprzez ofi handel zagraniczny, toteż prywatne, o ne transakcje handlowe dokonywane niedawno przez naszych turystów w lach, restauracjach i w ogóle ws gdzie to było możliwe i niemożliwe, ły dziś do nieprawdopodobnych rozmi

Na szczęście moje refleksje, które ne miałem wypisane na twarzy, dla były nieczytelne. Ni stąd ni zowąd mnie, czy już jeździłem na Plac Czer do mauzoleum.

Jeździłem. Można zresztą pójść, cent układ miasta sprawia, że każda ulica wadzi na ten historyczny plac, gdz tak dawno, po zwycięskiej wojnie, u stóp mauzoleum zdobyte w krwi bojach sztandary hitlerowskiej armi plac niezwykły, aby się dostać na jeg ki trzeba stać w kilometrowej kolej lejce skupionej, poważnej, posuwając z namaszczeniem. Pewnie dla tej włas

się twarzą w twarz z amerykańskim kontrwywiadem.

...Wieczorem, w sobotę 22 czerwca 1957 roku, siedziałem na krześle w małej celi i z ciekawością oglądałem locum w którym się znalazłem. Na lewo — stało żołnierskie łóżko przykryte kołdrą. Było ciasno przysunięte do ściany, a nad nim znajdowało się okno z żelazną ramą, kratą ze stalowych prętów i uzbrojonym szkłem. Zewnętrzna ściana gmachu była zbudowana z bloków. Wprost przede mną znajdowała się trzecia ściana i w jej prawym kącie pochylonym pod kątem 45 stopni było umocowane krzesełko. Do ściany w pobliżu drzwi była przymocowana nieduża muszla. Na prawo — stalowa krata szerokości około 1,5 metra, z drzwiami, ona także spełniała zadanie ściany. W niektórych miejscach tynk był poobijany. Prawdopodobnie poprzedni mieszkańcy więzienia sprawdzali wytrzymałość ściany. Pod tynkiem była taka sama krata jak u drzwi. Obejrzałem ją dokładnie. Była wykonana z kawałków stali około 5 mm grubości z podłużnymi 6-graniastymi prześwitami, o wymiarach około 5 na 10 centymetrów.

Za drzwiami celi siedział porucznik służby granicznej i wyraźnie nudził się, uważając, według wszelkiego prawdopodobieństwa, że funkcja dozorcy nie licuje z jego służbowym stanowiskiem. Wiedziałem, że tacy oficerowie dowodzili niewielkimi oddziałami żołnierzy pilnującymi granicę. Oni zatrzymywali, a następnie przesłuchiwali osoby naruszające pas graniczny. Wzdłuż całej południowej granicy USA naruszycielami byli przeważnie Meksykańczycy przechodzący nielegalnie do Texasu i Kalifornii w poszukiwaniu pracy. Dużo czasu spędzali ci porucznicy w zaroślach rzeki Rio Grande i teraz widocznie nie bardzo im odpowiadało siedzenie na krześle w korytarzu ciemnego gmachu i pilnowanie mnie. Lecz w ten wieczór los porucznika najmniej mnie niepokoił. Minione półtorej doby było tak nasycone wydarzeniami, że zachodziła konieczność rozpatrzenia się w tym wszystkim.

...W przeddzień, 21 czerwca, o godz. 7 rano spałem w nowojorskim hotelu. Nagle usłyszałem pukanie. Obudziwszy się podszedłem do drzwi, chcąc zobaczyć kto puka. Lecz nie zdążyłem otworzyć, gdy drzwi z siłą zostały otwarte na oścież i ktoś odepchnął mnie na bok. W drzwiach stanęło dwóch ludzi. W rękach trzymali jakieś zaświadczenia. Szybko przedstawiwszy się, że są specjalnymi pełnomocnikami FBI, weszli do pokoju. Za nimi wszedł trzeci mężczyzna, a na korytarzu pozostało jeszcze kilku.

— Proszę siadać — zaproponował mi jeden z nich.

— My wiemy kim pan jest, pułkowniku, wiemy po co pan przyjechał i co pan tu robił — powiedział drugi.

Wszystko stało się jasne. Jedna faza mojej pracy została zakończona — rozpoczynała się druga.

— Proponujemy panu współpracę z nami, jeżeli pan nie wyrazi zgody wyjdzie pan stąd w kajdankach. W pańskim interesie leży wyrażenie zgody na naszą propozycję.

— Nie rozumiem o jakiej współpracy mówicie — odpowiedziałem.

— Pan doskonale rozumie o czym my mówimy — zaoponował agent FBI.

— Czy mogę się ubrać?

— Proszę poczekać, proszę wpierw odpowiedzieć na nasze pytanie.

— Już odpowiedziałem.

— Powtarzam — oświadczył pierwszy — my wiemy, że jest pan pułkownikiem radzieckiego wywiadu, wiemy co pan tu robił. Proponujemy zatem współpracę, w przeciwnym wypadku zostanie pan aresztowany.

— Nic nie mogę dodać do tego co już panom powiedziałem.

Tak rozmawialiśmy z pół godziny. W końcu jeden z Amerykanów wstał i wyszedł na korytarz. Do pokoju weszło jeszcze trzech mężczyzn. Agenci FBI stanęli przy drzwiach. Jeden z nich pokazał mi nakaz aresztowania wystawiony przez nowojorski oddział służby imigracyjno-naturalizacyjnej. Było w nim napisane, że przebywałem w USA nielegalnie i że nie rejestrowałem się w ich wydziałach. Rozpoczęła się rewizja. Do dziś nie wiem czy piątkowy ranek był specjalnie wybrany do tej operacji. Rzecz w tym, że w nocy łączyłem się drogą radiową z Centralą, toteż potrzebne szyfry znajdowały się u mnie w numerze hotelowym. Zazwyczaj przechowywałem je w kryjówce na mieście, gdzie oprócz materiałów szyfrowych były trzymane inne przedmioty. A że te rzeczy były zawsze pakowane razem, teraz również znajdowały się w mym pokoju. Wiedziałem, że na oczach 6 agentów będzie trudno wszystko to zniszczyć, lecz nakreśliłem sobie, jako program minimum, pozbycie się za wszelką cenę szyfru i zapisu ostatniego radiogramu jaki otrzymałem w nocy. Pozbyć się szyfru było łatwo, gdyż nie

był duży. Schowałem go w dłoni i powiedziałem, że muszę pójść do toalety. Tam, pod czujnym okiem jednego z prowadzących rewizję, wrzuciłem szyfr do kanalizacji. Zapis radiogramu leżał na stole pod plikiem czystych kartek. Kiedy rewizja została zakończona polecono mi spakować się. W moim szkicowniku (zajmowałem się malarstwem) została farba na palecie. Wyjąłem zapis radiogramu spod pliku kartek i zacząłem zeskrobywać na niego farbę. Kiedy paleta była oczyszczona, zmiąłem papier i wrzuciłem go do muszli ustępowej w ślad za szyfrem. Oczywiście, bardzo żałowałem, że nie mogłem tego zrobić z innymi papierami. Tym niemniej sukces z szyfrem i zapisem poprawił moje samopoczucie.

Chociaż uwolniłem się od dwóch obciążających dowodów zostały jednak inne. Nie miałem złudzeń co do swego losu. Nie było wątpliwości co do tego jak FBI natrafiło na mój ślad. Sami agenci, dążąc do przekonania mnie, że „wiedzą wszystko", wydali źródło informacji — zdrajcę. Wielu uważa, że wystarczy zżyć się z możliwością wpadki i aresztowania, a wywiadowca przestaje o nich myśleć, co doprowadza do utraty czujności. Mówiąc prawdę, nie można ciągle myśleć o aresztowaniu. Napięcie nerwowe niewątpliwie odbije się ujemnie na psychice i pracy wywiadowcy. Tak jak żołnierz na froncie przyzwyczaja się do myśli o śmierci, tak i wywiadowca zawsze jest świadomy grożącego mu niebezpieczeństwa. Ale rozumny człowiek nie pozwala tej świadomości, by nim zawładnęła. Stosuje środki zapobiegawcze, tak by niebezpieczeństwo ograniczyć do minimum, przyzwyczaja się więcej myśleć nie o swoim bezpieczeństwie, a o tym, jak najlepiej wypełnić powierzone zadanie. I w końcu te dwa zadania utożsamiają się, zlewają się w jedną zasadę; właściwe wykonanie zadania wywiadowczego gwarantuje jednocześnie bezpieczeństwo wywiadowcy. Później, często myślałem o tym dlaczego w dzień aresztowania i w ciągu następnych miesięcy i lat nie przejmowałem się swym losem. Wydaje mi się, że najważniejszym w tym wszystkim było to, że z chwilą pojawienia się pracowników Departamentu Sprawiedliwości USA, specjalnych pełnomocników FBI — zacząłem przede wszystkim myśleć o tym jak uchronić od wsypy moich pomocników. Dlatego też kwestia mego osobistego losu została odsunięta na drugi plan.

Poprowadzono mnie w kajdankach na dół do samochodu i posadzono z tyłu za kierowcą. Obok siadł jeden ze współpracowników służby imigracyjno-naturalizacyjnej. Z przodu siadł drugi agent, widocznie starszy. Wtedy zaistniała możliwość pozbycia się jeszcze jednego dowodu mojej winy. W zacisku mego krawata znajdował się kawałek filmu z tekstem raportu o pewnej bardzo poważnej sprawie. Gdy zacząłem poprawiać krawat, starszy natychmiast to zauważył i wyrwał mi z rąk zacisk. Lecz zamiast obejrzeć go w okolicznościach bardziej spokojnych — zaczął go rozkładać. A gdy wreszcie to mu się udało, niezauważony przez niego film, wypadł. Agent obejrzał zacisk, nic nie znalazł i zwrócił mi go z powrotem. To zdarzenie rozbawiło mnie więc powiedziałem:

— Pan jest zbyt podejrzliwy...

Interesowało mnie dlaczego nie ma fotoreporterów prasowych. Prawdopodobnie FBI i centralny urząd śledczy liczyli na uzyskanie mej zgody na współpracę i dlatego nie nadali sprawie rozgłosu. Urzędnicy służby imigracyjno-naturalizacyjnej mogli zatrzymać tylko tego kto nielegalnie przybył do kraju. Z punktu widzenia prasy podobne sprawy nie budziły sensacji wśród czytelników i fotoreporterzy nie interesowali się pracą tego biura. FBI przeciwnie, zawsze znajdowała się w centrum uwagi czytelników, toteż prasa uważnie śledziła aresztowania dokonywane przez biuro śledcze.

W gmachu służby imigracyjno-naturalizacyjnej sfotografowano mnie en face i z profilu, pobrano odciski palców i zamknięto w pokoju, w którym prawdopodobnie odbywały się wykłady. Pilnowali mnie różni ludzie, trafił się nawet taki, który zarządzał oddziałem „zewnętrznych stosunków służby imigracyjno-naturalizacyjnej". Do jego obowiązków należało zamieszczanie w prasie informacji, dzięki którym czytelnicy mogli mieć dodatnią opinię o pracy tej organizacji i o potrzebie jej działalności. Takich „publicity men" w USA jest bardzo wielu. Z ich usług korzystają gwiazdy filmowe, korporacje i inne organizacje. Ten pan był bardzo rozmowny i mimo, że z zachwytem mówił o swoim biurze, nie tracił okazji by pochwalić siebie. Z innym strażnikiem dyskutowałem o metodach walki z przestępczością wśród nieletnich... Dopóki to się działo jeszcze raz sprawdziłem zacisk od krawata i przekonałem się, że gorliwy służbista stracił jeden dowód więcej.

O piątej zjawiło się dwóch ludzi. Przedstawiwszy się, że są pracownikami służby imigracyjno-naturalizacyjnej powiedzieli, że winienem udać się z nimi. Gdzie i dlaczego nie informowano mnie. Znów założono kajdanki i wyprowadzono na ulicę. Pojechaliśmy na lotnisko. Samolot wykołował na start. Lecieliśmy długo. Po pięciu godzinach lotu, około jedenastej wieczorem wylądowaliśmy na niewielkim lotnisku. Samolot zatankowano i znów wystartowaliśmy. Nad ranem, około godziny czwartej, zauważyłem w dole wiele świateł i zrozumiałem, że są to naftowe wieże wiertnicze. Byliśmy w Texasie. Moi strażnicy byli zdumieni, gdy wyraziłem przypuszczenie, że pierwsze lądowanie było w stanie Alabama i że zdążamy na południe Texasu. Nie było trudności z określeniem kierunku lotu według gwiazd, a znając w przybliżeniu prędkość samolotu — orientowałem się w położeniu. Strażnicy byli uważni i uprzejmi. Tym niemniej nie odpowiadali na moje pytania dokąd i po co lecimy, twierdząc, że o niczym nie wiedzą. Mniej więcej o wpół do piątej wylądowaliśmy na lotnisku Brownsville. Tam już czekano i dwoma samochodami pomknęliśmy po bezludnych drogach do miasta Mac Allen, do obozu służby imigracyjno-naturalizacyjnej. Było ciemno. Umieszczono mnie w celi i zaproponowano bym się położył. Obudzono o godzinie 10, kazano się ubrać i zaprowadzono na przesłuchanie. Po pierwszym przesłuchaniu nastąpiły dalsze. I tak aż do czasu, gdy na moje kategoryczne żądanie, po 6 tygodniach od momentu zatrzymania, został sporządzony akt oskarżenia zgodnie z istniejącymi procesowymi normami USA. Zostałem przeniesiony do więzienia w Nowym Jorku. No, a reszta jest znana z materiałów samego procesu.

Siedziałem w sumie cztery lata i osiem miesięcy. Później, jak wiadomo, dzięki staraniom naszego rządu uzyskałem pomoc i wróciłem do domu. Będąc w więzieniu niezłomnie wierzyłem w swoje uwolnienie i to dodawało mi sił i pozwalało spokojnie znosić brzemię więziennego życia.

Przełożył: EUGENIUSZ IWANICKI

KSIĄŻKI NADESŁANE

Zygmunt Kaczkowski — **WASI OJCOWIE**, WL, cena 22.—

Bohdan Baranowski — **POŻEGNANIE Z DIABŁEM I CZAROWNICĄ**, WL, cena zł 25.—

Zbigniew Ogonowski — **SOCYNIANIZM A OŚWIECENIE**, PWN, cena zł 60.—

DZIEJE LUBLINA, tom I, W.Lub., cena zł 80.—

Włodzimierz Słobodnik — **„ŚPIEW NA DOBRANOC"**, Czytelnik, cena zł 10.—

Jan Czarny — **„TRESOWANY MOTYL"**, W. Łódzkie, cena zł 10.—

Izabela Czajka-Stachowicz — **„NIGDY NIE WYJDĘ ZA MĄŻ"**, WL, cena zł 15.—

Hanna Mortkowicz-Olczakowa — **„SPADEK I INNE OPOWIADANIA"**, WL, cena zł 14.—

Dzięki Moskwa zyskała sobie w oczach dziennikarzy opinię „sierioznej". Dziennikarze miejscowi piszą, że w tej kolejce przeżywa się święte minuty.

Ta świętość to mauzoleum Lenina. Patrząc na marmurowe bloki trudno się domyślić, że mauzoleum było kiedyś drewniane, dopiero w 1930 r. projekt architekta Szczusiewa przeniesiono na kamień. Ludzie milkną, uciszają się nawet dzieci na ręku, słychać tylko szmer ostrożnych kroków na marmurze.

W tej kolejce na Placu Czerwonym stoi cały Związek Radziecki z jego półwieczną tradycją. Współczesność dzieje się daleko stąd przy stacji metro WDNCH na „Wystawie Osiągnięć Gospodarki Narodowej".

Już obelisk poświęcony kosmonautom, bardzo udany w porównaniu z dość ciężkimi pomnikami Moskwy, zapowiada nowoczesność, niejako tę nowoczesność eksponuje. Później nowoczesność będzie zamaskowana, ukryta za murami krzykliwie zdobnych pawilonów, które jednak zostały zbudowane jeszcze przed wojną, i pomieściły wtedy Wystawę Rolniczą. Wystawę tę spopularyzował reżyser Pyriew filmem „Świniarka i pastuch", którego bohaterowie poznają się właśnie na WDNCH. Wojnę 73 pawilony przetrwały w zapomnieniu, ale w 1949 r. przypomniano sobie o nich i postanowiono wykorzystać do propagandy osiągnięć gospodarczych, nie tylko Związku Radzieckiego jako państwa budującego komunizm, ale po prostu do propagandy produkcji konkretnych fabryk i kombinatów, których ambicją jest zawędrować na wystawę ze swymi wyrobami.

Pamiętając o głośnym powiedzeniu Lenina, że „komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju" udałem się do głównego inżyniera pawilonu energetyki i spytałem, w jakim stopniu powiedzenie to jest aktualne jeszcze dzisiaj. Pan Czystow odpowiedział mi posługując się członami powiedzenia Lenina: „Władze radziecką mamy, komunizmu jeszcze u nas nie ma, zatem co do elektryczności sam już pan rozumie. Jest u nas jeszcze spory odsetek wsi pozbawionych prądu".

I wskazał na mapę.

Powiedziałem: — Tak, ogromna przestrzeń, jedna szósta wszystkich lądów świata.

Ta ogromna przestrzeń w ciągu najbliższych piętnastu lat w całości zostanie pokryta siecią przewodów elektrycznych. Rosjanie, podobnie jak my, ciągle jeszcze budują.

Ale wystawa jest interesująca przede wszystkim dlatego, że eksponuje artykuły konsumpcyjne, eksponuje to, co przeciętny człowiek ma już w swoim mieszkaniu, lub co sobie niedługo kupi, dziesiątki tysięcy artykułów, dziesiątki tysięcy zaspokojonych i niezaspokojonych potrzeb.

W pawilonie budowy maszyn obok modelu sputnika Wostok spostrzegam tłum dzieci skupionych wokół żywego, roześmianego Gagarina. Widocznie opowiada im szczegóły swego lotu. Musi go już zapewne nieco nudzić to ciągłe zdawanie relacji ze swej podróży, jest to zapewne bardziej męczące niż doba w żelaznym pudle kosmicznego statku, ale to przecież chodzi o dzieci, które jakoś go odszukały i ściągnęły na tę wystawę i które, w skupieniu słuchają jego każdego słowa.

Nie jest prawdą, że w Związku Radzieckim nie ma dziś żadnego kultu. Zwłaszcza wśród młodzieży panuje kult kosmonautów. Pocztówki z ich podobiznami młodzi zbierają skrupulatniej niż fotki najbardziej popularnych gwiazd i gwiazdorów filmowych, wpinają sobie w klapy marynarek maleńkie metalowe znaczki z Gagarinem, Tiereszkową, Titowem. Kosmonauta — nowy typ współczesnego bohatera narodowego. Jeszcze w mundurze, ale jest to mundur, który nie zna wojny.

Jeszcze raz moskiewskie ulice. W przechowalni bagażu jakaś staruszka dzierżąc w każdej ręce walizkę przepycha się do okienka. Chce coś powiedzieć, ale nie może — w zębach ściska za rożek trzyrublowy banknot. Na innym dworcu czterej żołnierze emablują senną dziewczynę. Patrzy na to „militoszka", ale nie interweniuje. Co tam, przyjezdni. Za godzinę odjadą, po co im komplikować ostatnie godziny „w otpuskie" czyli na urlopie.

„Militoszka" odchodzi, zabieram się i ja. Ubrany z polska wyglądam jak moskwiczanin, toteż jakiś prowincjusz nieśmiało pyta mnie o drogę.

— Wy pierwszy raz w Moskwie? — pytam.

— Pierwszy, a jakże. A tu trzeba koniecznie zobaczyć. Już na Kremlu byłem.

— Szumnyj gorod Moskwa?

— Szumnyj! Przecież to stolica.

Wiadomo, stolica.

KONRAD FREJDLICH

TADEUSZ SŁUPECKI

Z WYZNAŃ ex-wiejskiego SATYRYKA

Co roku wielu młodych ludzi, czujących smykałkę do literatury, zastanawia się nad wyborem pisarskiej drogi. Dla nich to przeznaczam swoje wyznania.

Wiadomo, że literatów w Polsce było zawsze jak mrówek i wybić się w tej branży nie jest łatwo. Co więc w okresie tzw. schematyzmu w naszej literaturze czynił młody człowiek, czujący w sobie talent ironisty, a mający kłopoty z literackim debiutem? Oczywiście, starał się zostać satyrykiem wiejskim. W tej gałęzi literatury pytano bowiem wtedy nie tyle o talent, ile o to, czy facet potrafi odróżnić żyto od ziemniaków i konia od krowy.

Kto tym wymogom sprostał, stalował sobie ostrogi wiejskiego satyryka. A kto jeszcze trafił do redakcji chłopskiego pisma i umiał tam pozyskać sympatię redaktora, ten te ostrogi mógł przypinać.

Podobnie działo się ze mną. Kiedy w tamtych latach poczułem na twarzy oddech muzy satyry, zapukałem do drzwi chłopskiej redakcji. Jej redaktor brakiem czasu przed debiutantem się nie wymawiał, na krześle mnie posadził, o talenty literackie wypytał. Na koniec postanowił:

— Zostaniecie, kolego, wiejskim satyrykiem. Właśnie otwieramy dla nich przy naszej redakcji coś w rodzaju Satyrycznej Szkółki. Wymagane kwalifikacje: trzy oddziały szkoły podstawowej i umiejętność odróżnienia krowy od konia.

— To niedobrze. Mam już za sobą studia uniwersyteckie. I od dziecka przebywam w mieście, więc z tym odróżnianiem mogę czasem coś pomylić — zmartwiłem się naiwnie.

— Głowa do góry, koleś! Przy naszej pomocy nawet uniwersytet nie będzie wam w satyrze przeszkadzać. A co do miejskiego pochodzenia, to plamę tę w waszym życiorysie zetrą broszury o wsi i redakcyjna szkółka! — dodawał mi otuchy redaktor.

I tak rozpocząłem swą edukację na satyryka wiejskiego. Zamiast codziennych gazet czytałem co rano tygodnik „Zboża ozime", przy obiedzie „Hodowcę świń", do kolacji już tylko lekkostrawny „Głos pszczelarzy". Czas pomiędzy posiłkami wypełniałem lekturą fachowych broszur rolniczych. Doszło do tego, że na żonę zamiast „Krysiu" wołałem „Jagna" albo „gospodyni", dzieciom kazałem mówić do siebie per „wy" lub „gospodarzu". Godziłem się także z tym, że wychowanie mej córki i syna poczęło gwałtownie kuleć, ale na ich wybryki mogłem reagować jedynie tradycyjną pedagogiką pradziadków, tj. pasem, ponieważ w czasie wolnym od wspomnianych lektur musiałem dodatkowo studiować książkę-nowość pt. „Zimny wychów cieląt".

W Szkółce Satyryków Wiejskich również czyniłem postępy. Coraz rzadziej myliłem krowę z koniem i wiedziałem także, że na przykład sołtys to nie świnia, choć świnią być może. Mój redaktor wykazywał przy tej edukacji ogromną cierpliwość, bardzo pomocną w przezwyciężaniu obciążeń, jakie mnie gnębiły z racji uniwersyteckiego wykształcenia i robotniczego pochodzenia. Na przykład pytał:

— Co to jest krowa?

— Krowa to samica bydła domowego, zwierzę parzystokopytne, nóg cztery. Krowa mieszka na wsi, a lubi żreć trawę i dawać mleko. Czasem używa się jako wyzwisko — odpowiadałem, nawet nie zaglądając do encyklopedii.

— Ale o tym, że gdy dużo ryczy, to zwykle daje mało mleka, zapomniałeś? — strofował mnie łagodnie.

Notowałem pilnie tę uwagę w notesie, gdyż pilność miałem zawsze w naturze, a redaktor pytał dalej:

— Koń?

— Koń, rodzaj z rzędu nieparzystokopytnych, w Polsce udomowiony od dawna. Na wsi służy do orania pługiem i po to, aby został wyparty przez traktory. A czasem, choć ma cztery nogi, też się potknie.

— Traktor?

— Traktor służy na wsi do wyparcia konia. I choć nie ma nóg jak koń, tylko koła, z winy sabotażystów też się czasem w polu zatnie. Poza tym na traktorze mogą jeździć traktorzystki.

— Traktorzystka?

— Traktorzystka służy na wsi do walki o postęp i do jeżdżenia na traktorze. A jeśli przy tym jest ładna, to bogaczy wiejskich krew zalewa, że taka ładna i służy na traktorze, a nie u nich. Z tego może już być wiejska satyra.

— Nieźle — chwalił mnie redaktor, którego w tamtych latach też z kolei za to chwalono.

I zaczynał nową serię pytań:

— Co to jest kartofel?

— Kartofel czyli poprawnie ziemniak, to uprawiana na wsi jadalna bylina z rodziny psiankowatych. Różni się od żyta tym, że ma owoc pod ziemią, gdy żyto nad ziemią, lecz wódkę można robić z obydwóch. Przywieziona z Ameryki, łatwo ulega amerykańskiej stonce ziemniaczanej. Ale ze stonką na wsi się walczy.

— Z kim jeszcze teraz na wsi się walczy?

— Z pasożytem słodyszkiem, żerującym na rzepaku i z bogaczem wiejskim czyli kułakiem, który popiera słodyszka, bo sam również żeruje. To także temat dla wiejskiej satyry.

Wykształcenie uniwersyteckie i robotnicze pochodzenie już mi w pisaniu o wsi nie przeszkadzały, zwłaszcza, że pilnie wykonywałem zalecane w szkółce satyryków ćwiczenia praktyczne. Polegały one na tym, że w wiosenne i letnie niedziele kupowałem na dworcu kolejowym bilet do podmiejskiej stacji, w tłumie wycieczkowiczów z miasta szturmowałem wagony i gdy udało mi się zająć miejsce przy oknie, wyglądałem przez opuszczoną szybę, powtarzając sobie półgłosem, zależnie od tego, co widziałem na mijanych polach:

— Tu rośnie żyto. A dalej jest zielona łąka.

— Na łące pasie się krowa. A obok, za ogrodzeniem z kolczastego drutu, bryka kary koń.

— Polną drogą idzie gruby bogacz wiejski. A ten chudy na miedzy, to na pewno chłop małorolny.

— To jest stodoła. Tu widać wiejską chałupę. A to jest wieś.

Niekiedy trapiły mnie wątpliwości, czy chłop, który wydał mi się z okien wagonu wiejskim bogaczem, nie jest przypadkiem małorolnym i odwrotnie. Pocieszałem się jednak tym, że dla realizmu wiejskiej satyry byłoby gorzej, gdybym nie odróżniał konia od krowy lub stonki ziemniaczanej od barana.

Teraz mogłem już w pełni wykorzystać wiedzę o wsi, nabytą w Szkółce Satyryków Wiejskich i zacząłem pisać nienagannie wiejskie humoreski.

Rychło począłem się w tej gałęzi krajowej literatury wybijać, zwłaszcza, że konkurencja była minimalna. Oprócz mnie, w tamtych latach o wsi pisało jeszcze ze dwóch prawdziwych satyryków-literatów, trzech satyryków-dziennikarzy i z dwudziestu satyryków, nie będących ani literatami, ani dziennikarzami, ani satyrykami, lecz za to umiejących również odróżnić krowę od konia i stonkę od barana.

Utwory swoje drukowałem we wszystkich chłopskich pismach kraju i nie mogłem nadążyć z ich pisaniem. Tygodnik „Bydłohodowca" zamawiał u mnie co tydzień satyrę na brudne dójki, nie myjące rąk przed dojeniem krów, „Miesięcznik chlewmistrza" żądał humoresek o chudych chlewmistrzach, zniechęcających swą chudością świnie do tycia, a dziennik „Ziemniak i Ty" domagał się ode mnie stałego ośmieszania stonki ziemniaczanej. Zaobserwowano bowiem na wiejskich zabawach, że chłop lubi, aby jego przeciwnik był wpierw zelżony lub ośmieszony i dopiero potem bity, więc fakt ten chciano wykorzystać do walki z tym szkodnikiem, tak groźnym właśnie dla chłopskich ziemniaków.

W tym stanie rzeczy nie mogłem już nadążyć z pisaniem satyr wiejskich. Zmusiło to mnie do opracowania lepszych metod ich eksploatacji. Każdy maszynopis kolejnej humoreski, po wykręceniu spod wałka maszyny do pisania odbywał odtąd długą i starannie zaplanowaną drogę. Nasamprzód nadawało go w swoich audycjach radio, potem drukowała jedna z lokalnych gazet, potem centralne pisma chłopskie potem tygodnik satyryczny i na koniec kolejna „Antologia Satyry Wiejskiej". Aby nie mylić się w rozdziale humoresek, do planowania ich zbytu wciągnąłem żonę, moją Krysię-Jagnę. To ona prowadziła dla mnie specjalną księgowość i ustalała kolejność, w jakiej każdy mój utwór wędrował po redakcjach, a dzieci przez dwie godziny dziennie zaklejały humoreski w koperty i odnosiły później w worku na pocztę.

Kiedy moja renoma w satyrze wiejskiej tego etapu została już ugruntowana, zaczęło mi świtać w głowie, że właściwie nic o wsi nie wiem. Nic prócz tego, co wyczytałem w chłopskich pismach, dla których swoje wiejskie satyry pisałem. Z tej przyczyny obudziły się we mnie różne moralne skrupuły, a nawet zwyczajny pisarski wstyd.

Rys. MAGDA KAPUŚCIŃSKA

Było jednak za późno.

Nie umiałem się z obranej drogi wycofać, zresztą nawet nie mogłem. Redaktorzy moje wiejskie satyry drukowali, na konferencjach je wszędzie chwalili, a redaktor, który otworzył mi drzwi do Szkółki Satyryków Wiejskich, przy każdym spotkaniu poklepywał mnie z aprobatą po ramieniu. Kiedy był szczególnie ze mnie ukontentowany, to potrafił nawet z koleżeńską bezpośredniością dać mi sójkę w bok.

— Widzisz, byku! — cieszył się jowialnie. — Gdybym cię z tych robotniczych ulic nie wyciągnął na świeże wiejskie powietrze, byś do dziś kleił w mieście współczesne powieści, których czytelnicy nie chcieli czytać, a wydawcy drukować. A tak, to stałeś wziętym i powszechnie w prasie doceniowanym wiejskim satyrykiem!

Właśnie, psiakrew!

A tak bardzo już wtedy chciało mi się napisać liryczną powieść o mieście, w którym żyję i dramat o sobie. Choćby mi przywet tego dramatu tak powszechnie nie doceniano.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

Ojciec*)

Chrystus to nie był święty
to był mój ojciec Robotnik o palcach pomazanych pracą
to był mój ojciec Stolarz o łokciach sękatych jak gałąź
to był mój ojciec Ogrodnik zaprzyjaźniony z drzewem

W liściu stał jego kościół wysoki i zielony
wprowadził mnie do środka drzwiami z kropli rosy
nie było tu ołtarzy ni złotych obrazów
uklęknąłem przed słońcem

Potem szliśmy nad rzekę która jest modlitwą pól
ryby przychodziły do nas i jadły nam z ręki
kamienie na dnie przybrały kształt jaskółek
to nie był cud Myśmy tak widzieli

Pokrzywy rozświetlały nam drogę powrotną
w domu ojciec wziął do ręki hebel
zaszczepił dziką jabłonkę
kuł młotem żelazo i słychać było w niebie

*) Utwór odznaczony I nagrodą na konkursie „Hybryd" w Warszawie.

Nastało wielkie zmęczenie

Ptaki odegnane w chmurzaste gniazda,
Szumy zebrane parującą tkaniną wiatru.
W gałęziach przygarbione plecy ojca,
Hebel na liściu i poskręcane wióry światła.

Nastało wielkie zmęczenie drzewa
I lekarstwo jedyne bym odszedł,
Bym liścia nie poruszył ciekawymi oczami.
Bym przestał opukiwać pień w którym cicho.

EUGENIUSZ WACHOWIAK

Z cyklu „Turyngia"

Widok z Wartburga

Lasy są tam lasami
lecz przecięte dołem
wstęgą czarnych umocnień
nie są już do grzybobrań

Osioł wynosi wodę
do stągwi Wartburga
jak cięcie miecza szybki
leci odrzutowiec
wzrok ponad granicą
sięga w głębie lasów

Wieki nie starły góry
zamek ciężki stoi
jak mroczna strażnica
na tle cichych dolin

Pokój Goethego

Nie jest złożoną prawdą
w tej surowej izbie
w której wymiary wieszcza
kryło proste łóżko

Oto od słońca daszek
tandetny prawie przedmiot
wieńczył to samo czoło
co wieniec laurowy

LESZEK ST. RUDNICKI

NIEŚMIERTELNY SAMBO

Choć połowa sezonu nie jest bynajmniej świętem w teatralnej codzienności, wykorzystajmy jednak ten moment dla pobieżnego choćby rozejrzenia się w aktualnym repertuarze łódzkich teatrów lalek. Są w Łodzi dwa takowe, o niemałej już tradycji. Pinokio i Arlekin. Najprostszym i zarazem najpełniejszym chyba wymiernikiem ich pracy będą wpisy dokonywane w Książce Uwag niewprawnymi jeszcze rękoma młodych widzów. Sympatia jaką cieszą się wśród nich, jest przeogromna. Mimo to jednak, wciąż jeszcze zbyt mały jest procent dzieci uczęszczających w Łodzi do teatru. Nie chodzi tu o frekwencję — jest ona jedną z najwyższych w kraju. Chodzi o to, że widzowie są wciąż, mniej więcej oczywiście, ci sami. Wytworzyła się stała widownia, czekająca niecierpliwie na każdą nową premierę. Nierzadko zaś wędrująca dwa i trzy razy na tę samą sztukę.

Z jednej strony będzie to zjawisko nad wyraz przyjemne dla teatrów. Z drugiej zaś, nieco smutne, gdyż wszelkie starania o zmianę tego stanu rzeczy napotykają ciągle na rozmaite przeszkody. Najdosadniejszym chyba przykładem może być wypowiedź pewnego kierownika szkoły z terenu województwa — „Dzieci mają taką masę rozrywek, zabawy w remizie itp. że teatr właściwie może nie przyjeżdżać".

Tymczasem wypowiedzi dzieci mówią nam coś zupełnie innego. I komu teraz wierzyć? Panu kierownikowi?

Popatrzmy na repertuar. W chwili obecnej Pinokio wystawia cztery sztuki. Marii Kann „Srebrnorogi jeleń" i „Biali Bracia", „Zaklęty rumak" Leśmiana i H. Januszewskiej „Tygrys Pietrek pod ciemną gwiazdą", dalszy ciąg wystawianego poprzednio „Tygrysa Pietrka". W próbach znajdują się dwie następne sztuki: Baśń łotewska Janisa Rajnisa „Szklana góra" i „Kot w butach" Januszewskiej. W objazdach dawane są również niektóre wznowienia.

Z drugiej strony, Arlekin wystawia „Błękitnogrzywego lwa" H. Ryla i „Autostop" M. Śniady i A. Kołacza. W przygotowaniu są: „Kotek protek" Z. Poprawskiego i Aliny Afanasjew „Latający (czarodziejski) wiatrak". Grane są również wznowienia, choćby takie jak ciesząca się powodzeniem od lat dziewiętnastu (!) sztuka „Sambo i lew".

Tyle sucha lista repertuaru. Zdajemy sobie jednak doskonale sprawę, że to jeszcze nie wszystko. Za tytułami sztuk kryje się przedziwny, czasem troszkę niesamowity, a zawsze fascynujący świat baśni wspomagany dziecięcą fantazją. Urokliwy i przyciągający jak magnes. Sytuacja, o której mówiłem na początku jest specyficzna o tyle, że widz, dziecko, nie potrafi samodzielnie wybrać sobie takiej, a nie innej formy zabawy. Początkowo, bo gdy już zapozna się z teatrem, odkryje wypływające stąd możliwości wspaniałej zabawy, wtedy już najzupełniej świadomie wybierze teatr, a nie cokolwiek innego. Potrzebna jest tylko owa pierwsza zachęta, na którą niestety nie wszyscy rodzice potrafią się zdobyć.

Podczas lektury repertuaru nasuwają się również pewne refleksje zgoła innego rodzaju. Poza bowiem „Autostopem" i „Białymi braćmi", reszta pozycji obraca się wciąż w świecie baśni. Powiela wciąż ten sam walor dydaktyczny — przeciwstawienie dobra i zła, oraz wynikających z tego następstw. To chyba nie jest zbyt dobre. „Autostop" jest już nieco inny. Opowiada o przygodach harcerzy spóźnionych na zbiórkę i goniących swoją drużynę autostopem. „Biali bracia", to sztuka historyczna oparta na losach pierwszych osadników w Ameryce, wśród których znaleźli się i Polacy. Oba te utwory przez odmianę akcji uczyniły strawniejszym ten sam motyw dydaktyczny.

Moim skromnym zdaniem, sięgnięcie do tematyki współczesnej nie odbiłoby się niekorzystnie na repertuarze. Warto także zainteresować się wydarzeniami z naszej, łódzkiej, czy wojewódzkiej przeszłości. Mamy przecież postaci sceniczne tak kapitalne jak diabeł Boruta. Gdyby nasi literaci nieco więcej zainteresowali się pracą teatrów lalek, to mogłyby powstać utwory, ho, ho!

Chciałbym tutaj, korzystając ze sposobności, zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt sprawy określanej terminem — „łódzkie teatry lalek". Z okazji Millenium wykazaliśmy jak bardzo leży nam na sercu sprawa oświaty, przez budowę tysiąca szkół. Nie, nie! Proszę się nie obawiać. Nie zamierzam bynajmniej namawiać nikogo na budowę tysiąca teatrów. Te co są, wystarczą w zupełności. Chciałbym tylko przypomnieć, że o ile Pinokio od lat już cieszy się własną salą i wcale bogatym zapleczem, o tyle Arlekin od dziewięciu lat jest wciąż gościem Związków Zawodowych przy ul. Wólczańskiej. Choć wcale sobie tę gościnę chwali, zawsze jednak pozostaje ona tylko gościną. Na dłuższą metę nie jest to zbyt wygodne dla obu stron. A jeszcze administracja na Piotrkowskiej, a pracownie na Głównej, kręćka można dostać.

Wiemy wszyscy, że z lokalami w Łodzi nie jest łatwo, ale bądź, co bądź, przez dziewięć lat można było nad tym pomyśleć. Czas wreszcie poza oświatą dla przyszłych obywateli, zadbać także o kulturę dla nich.

Jest coś w naturze recenzenta, w mojej szczególnie, co od czasu do czasu odzywa się nutką niepoprawnego optymizmu. Może więc łaskawy los sprawi, że lada dzień oba nasze teatry zarzucone zostaną utworami pióra naszych, łódzkich autorów. Może więc niezadługo nieśmiertelny Sambo będzie mógł tresować swego lwa na własnej scenie, przy zawsze rozentuzjazmowanej widowni. „Dzielny Sambo. Wielki Sambo." Może...

A swoją drogą, „Sambo i lew", to wspaniała sztuka.

SPEKTAKLE tygodnia

Film

WŁÓKNIARZ	„Złoto Alaski", 35 seansów	13.792 — 70%
WISŁA	„Parasolki z Cherbourga", 18 seansów	4.123 — 60%

Teatr

NOWY	„Lato w Nohant", 2 spektakle	1.400 — 100%
	„Bliźniaki z Wenecji", 3 spektakle	2.100 — 100%
	„Faust", 1 spektakl	350 — 50%
NOWY Mała Sala	„Anioł na dworcu", 2 spektakle	360 — 80%
	„Lekcja", „Szaleństwo we dwoje", 3 spektakle	540 — 80%
JARACZA	„Kaukaskie koło kredowe", 3 spektakle	2.019 — 100%
	„Ostatnia stacja", 5 spektakli	3.365 — 100%
	„Kto się boi Virginii Woolf", 1 spektakl	673 — 100%
7.15	„Kłamczucha", 7 spektakli	2.975 — 100%
OPERETKA	„Sewastopolski walc", 6 spektakli	5.298 — 79%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	1.018 słuchaczy 70%

Uwaga: Cyfry procentowe oznaczają stosunek liczby widzów do ilości miejsc na widowni.

DLACZEGO NIE NAPISZĘ RECENZJI o „FAUŚCIE"?

Proszę przyjąć do wiadomości, że odmawiam napisania recenzji z „Fausta" (w Teatrze Nowym). Od 1819 roku, kiedy to Antoni Radziwiłł urządził na zamku Monbijou pierwsze przedstawienie „Fausta", kilka generacji teatralnych parało się tym dziełem i każda wystawiała je na modłę **swojego czasu.**

Tragedia ta zmusza realizatorów do wciąż nowego odczytania. Najprościej można rozwój ten określić jako drogę od bajkowego do filozoficznego Fausta, poznającego sens życia dopiero w końcu (rzadko granej) Drugiej Części Tragedii. W scenicznym rysunku Fausta pierwszej części — tego, który pochłonął całą wiedzę swojego czasu, ale rozpacza aż do granicy samounicestwienia, ponieważ nie może dojść do sedna wszechrzeczy i którego hedonizm jest tylko formą tej rozpaczy — więc w scenicznym rysunku owego Fausta muszą być poznawalne cechy ocalonego (z drugiej części), który zrozumiał, iż sensem ludzkiego życia jest ludzkość. Oto przykład jednej z koncepcji wystawienia największego dzieła Goethego. Inna byłaby teza, iż Mephisto i Faust są **jednością, dwa przeciwstawne principia jednej duszy.** Jeszcze inną...

Przykładów z historii teatru można wyliczyć jeszcze wiele. Ale łódzki „Faust" odznacza się tym, że **nie ma żadnej koncepcji.** Albo, że ma tyle koncepcji, ile jest wielkich ról w sztuce. To znaczy, że inscenizatorowi zabrakło konceptu i że zwalił wszystko na aktora.

Tragedii, z którą Goethe parał się ponad 50 lat, dał on, reżyser, radę w ciągu pięciu tygodni. Jakimi dysponując przesłankami? — należy głośno i wyraźnie zapytać.

Dylemat zaczyna się już przed pierwszą czytaną próbą, bo przy wyborze tekstu, czyli polskiego tłumaczenia. Wybór ten powinien być dokonany po skrupulatnym zbadaniu chociażby kilku tłumaczeń. Pochłonęłoby to jakiś rok czasu. Ale Inscenizator—reżyser **nie studiował** polskich tekstów — z tej prostej przyczyny, że **nie zna polskiego.** Otrzymał egzemplarz, ale nie był i nie jest w stanie go przeczytać. Nie wiedział, co reżyseruje. Bo tłumaczenie, które wybrano, jest tak dalekie od „Fausta", jak Zegadłowicz od Goethego. To niewątpliwie najgorszy z wszystkich przekładów. Czytałem sześć tłumaczeń. Dopiero po szoku, którego doznałem po przeczytaniu Zegadłowicza, dowiedziałem się, że nie tylko polscy germaniści, ale i recenzenci przedwojennej realizacji „Fausta", dokonanej na podstawie zegadłowiczowskiego tekstu byli o nim (o tym tekście) jak najgorszego zdania. Zarówno Boy-Żeleński jak i Irzykowski. Ten ostatni pisał:

„Najgorszą stroną przedstawienia był przekład E. Zegadłowicza... ani jednego ze sławnych miejsc „Fausta" nie udało mu się przetłumaczyć w sposób jędrny, zwarty... wszędzie... ułatwienie sobie roboty. Nie zwycięża trudności, tylko je omija... on musi pokazać swoją indywidualność, zzegadłowiczować Goethego..."

Przy tym Irzykowski wyrażał się bardzo oględnie i delikatnie, co można łatwo stwierdzić, porównując oryginał z tekstem Zegadłowicza.

Więc reżyser nie wiedział, co wystawia, **ale za to nie miał żadnej koncepcji.** Dlaczego powierzono mu pierwszą po wojnie realizację Fausta? Może dlatego, że jest cudzoziemcem? A może dlatego, **że nigdy dotychczas nie reżyserował w teatrze dramatycznym?** To są bardziej zawiłe zagadki, niż te, które napotyka Faust, chcąc zgłębić sens wszechrzeczy!

Również obsada przyczyniła się do tego, że muszę odmówić napisania recenzji. „Faust" jest sztuką, zawierającą również partie tekstu, wymagające wielkiej kultury słowa, nie tylko gry. Wówczas tylko dociera do widza wymowa tekstu. Niestety i w tym względzie Teatr Nowy dokonał fałszywego wyboru. Żal, że ofiarą padł w tym wypadku aktor, ceniony nie tylko w Łodzi, ale i w całej Polsce.

Skreślenia, z sensem dokonane, są przy „Fauście" potrzebne, ale każdy widz orientujący się nieco, odczuwa dokonane w Łodzi skreślenia jako okaleczenia, jako siekankę bez ładu i składu.

Do zamordowania „Fausta" w Łodzi przyczyniła się również scenografia. A więc nie tylko debiutujący reżyser, nie znający języka polskiego. Przyczyniła się do tego przede wszystkim kompletna nieznajomość rozmiarów przedsięwzięcia, które podjęto na ulicy Więckowskiego.

Dlatego też zmuszony jestem odmówić napisania recenzji.

L. B.

JANUSZ TERMER

KRONIKA GETTA ŁÓDZKIEGO

„Na Marysinie odbywają się od trzech tygodni prace nad przeprowadzeniem doskonałej drogi do cmentarza. (...) Szosa budowana jest według najnowszych wzorów techniki; składa się z trzech warstw: podłoża z cegły, nasypu i szlaki węglowej wysypanej na powierzchni. Szosa ta łączy się z wykonaną już drogą na przestrzeni 3/4 kilometra, biegnącą wzdłuż ulicy Roberta. Poza tym na Marysinie brukuje się drogę wzdłuż ulicy Otylii, która doprowadzi do siedziby resortu przy ul. Mostowskiego. Budowa wzorowych dróg w obecnych warunkach — to jeden z pomników żywotności getta" — czytamy w Kronice z dn. 14 grudnia 1941 r. I jest to wypowiedź niezwykle charakterystyczna dla metody tworzenia i okoliczności powstawania tej Kroniki.

Jej autorzy — pracownicy żydowskiego Archiwum działającego w ramach samorządu żydowskiego utworzonego przez Niemców w getcie łódzkim — odcięci od świata zewnętrznego, zależni od służalczej administracji żydowskiej, kierowanej przez niejakiego Rumkowskiego, byli w sytuacji określanej zwykle jako „między młotem a kowadłem". Wprawdzie Niemcy nie ingerowali bezpośrednio w tekst Kroniki (chociaż zawsze istniała taka możliwość), ale wystarczyła tu sama cenzura osławionych zauszników kliki Rumkowskiego, aby działać paraliżująco na poczynania jej autorów. Trzeba więc było szukać innych metod pokazywania prawdy o życiu w getcie. Taką podstawową stało się umiejętne, pozornie beznamiętne zestawianie gołych faktów i wydarzeń, aby i władza była zadowolona i aby żaden fakt z martyrologii ludności nie został pominięty, chociaż nigdy nie nazwany po imieniu.

Nie trzeba dużo. Wystarczy odrobina dzisiejszej wiedzy o życiu w jakimkolwiek żydowskim getcie, aby spoza suchych komunikatów o stanie pogody, zgonach i urodzinach, cenach na rynku, peanów na cześć Rumkowskiego, spoza urzędowego optymizmu, uwag o rozwoju zakładów pracy, stanie sanitarnym, życiu kulturalnym itp., wyłoniła się nam okrutna prawda o rzeczywistych warunkach egzystencji zamkniętych tu ludzi, trzymanych w niepewności i strachu, skazanych na zagładę.

Rys. Anthony Colbert

„Kronika Getta Łódzkiego" — czytamy we wstępie — stanowi dokument o ogromnym znaczeniu. Pod względem bogactwa zawartych informacji jest źródłem bez precedensu w piśmiennictwie getta łódzkiego. W kronice tej, jak w żadnym innym przekazie źródłowym tego typu, większość opisanych faktów i wydarzeń oparta została bądź o informacje z pierwszej ręki, bądź na podstawie dokumentów ogółowi wówczas nie znanych. Okoliczność ta wypływa głównie z faktu, że Kronika sporządzona została w instytucji, która miała zapewniony dostęp do całej niemal dokumentacji getta łódzkiego. Instytucją tą był Wydział Archiwum Przełożonego Starszeństwa Żydów w Litzmannstadt-Getto". Rzeczywiście nie ma wśród opublikowanych pamiętników, dzienników i kronik z lat wojny i okupacji, takiej pozycji, która powstałaby w oparciu o urzędowe dane i tajniki pracy wszystkich resortów okupacyjnego, żydowskiego samorządu, przy jednoczesnej względnej swobodzie w sposobie wypowiadania się i doboru materiałów. Toteż przy wszystkich ograniczeniach jakich musieli przestrzegać autorzy tej Kroniki, jest ona wstrząsającym dokumentem, którego wartość poznawczą trudno jest przecenić, zwłaszcza historykowi tego okresu.

Wszystkich interesujących się szczegółami powstania Kroniki; autorami, ich późniejszym losem, warunkami pracy i w ogóle historią tekstu, odsyłamy do interesującego wstępu pióra autorów opracowania niniejszego wydania. Nam z kronikarskiego obowiązku, pozostaje jeszcze tylko wymienienie ich nazwisk: z oryginału do druku przygotowali, wstępem i przypisami opatrzyli: Danuta Dąbrowska i Lucjan Dobroszycki.

Kronika Getta Łódzkiego. Tom I. Styczeń 1941 — maj 1942, oprac. D. Dąbrowska i L. Dobroszycki. Łódź 1965, WŁ. 4°, s. 632.

ANDRZEJ GRUN

ZBIÓR ZASAD WZORNICTWA PRZEMYSŁOWEGO

Napisana przeszło trzydzieści lat temu przez jednego z czołowych krytyków angielskich, poetę, teoretyka sztuki, Herberta Reada książka „Art and Industry", mimo powstania w specyficznych warunkach ekonomicznych, społecznych i kulturalnych, nie straciła wcale na wartości w czasach, w których problem „sztuka — maszyna" jest nadal aktualny i ostatecznie nie rozwiązany. Zagadnienie znalezienia nowych norm estetycznych dla nowych metod produkcji jest dziś tak samo istotne jak wtedy, kiedy książka ta była pisana, z tym, że przeniosło się ono w chwili obecnej na wszystkie dziedziny wytwórczości przemysłowej. Nie ma dziś kraju uprzemysłowionego, więcej — nie ma żadnego poważnego zakładu przemysłowego, który by nie doceniał konieczności badań nad formą przemysłową, nad projektowaniem i programowaniem wnętrza produkcyjnego.

Wykład Reada omawia podstawowe problemy tego zagadnienia, wielorakie zależności wynikające ze specyfiki materiału, funkcji i procesu produkcyjnego. Występując przeciwko bezmyślnemu zdobnictwu i czczej ornamentyce, autor wiele uwagi poświęca sprawom racjonalnego badania i to badania kolektywnego całych zespołów specjalistycznych, sprawom estetyki funkcji i działania, wreszcie roli przedmiotu codziennego użytku w kształtowaniu się smaku estetycznego konsumenta. Read, zwolennik prostoty i umiaru, wywodzi swoje rozważania z przyznania sztuce podstawowej wagi w rozwoju rodzaju ludzkiego — i wiary, że zdolność do doznań estetycznych stała się dla człowieka środkiem zdobycia, a następnie doskonalenia świadomości. Wychodząc z założenia, że zmysły ludzkie można ćwiczyć podobnie jak sportowiec ćwiczy swoje mięśnie — Read omawia szeroko także sprawy kształtowania smaku artystycznego i szkolenia kadr plastyków-projektantów. W sumie — pozycja interesująca i przy braku w języku polskim tego rodzaju publikacji — ze wszech miar pożyteczna.

Herbert Read — SZTUKA A PRZEMYSŁ, Warszawa 1964, Państwowe Wydawnictwa Naukowe — tłumaczył Jan Choroszuka, str. 276, cena zł 24.

BOGDA MADEJ

SPOTKANIE ZE „SŁOWEM"

Klient odwiedzający tę księgarnię spotyka się z wyjątkowym przyjęciem, wita się go uśmiechem, pozwala buszować wśród książek i nawet jeśli nie zrobi żadnego zakupu, żegna się go takim samym miłym uśmiechem do następnej wizyty. Bo kto tutaj zajrzy raz, a zalicza się do prawdziwych miłośników książki, wróci na pewno. Pora wyjaśnić, że rzecz będzie o antykwariacie „Słowo". Dziwna to księgarnia, nie ma tu lady oddzielającej klienta od książki, w każdej chwili można wziąć drabinkę i na przedostatniej półce od sufitu poszukać tego, co nas interesuje, można trzymać pół godziny książkę w ręku, przeczytać sobie kilka stron i odłożyć ją na miejsce. Jest to rzadka instytucja, do której wchodzi się bez określonego celu kupna i gdzie nigdy nie wywieszono na drzwiach tabliczki — „przerwa obiadowa". Przemiły gospodarz antykwariatu, pan Henryk Maszewski, chętnie służy radą i pomocą, a jeśli obieca komuś, że książka będzie, to z góry można ją wpisać do swojego katalogu. Pan Maszewski twierdzi, że odkąd zaczął książką handlować, stracił z nią kontakt, ale wystarczy popatrzeć na ściany z książek, posłuchać, jak rozmawia o nich z klientami, aby dojść do przekonania, że sporo w tym niepotrzebnej skromności i trochę kokieterii.

Ponieważ „Słowo" gości dziś na łamach ze specjalnej, uroczystej okazji, nie od rzeczy będzie wspomnieć, jak doszło do założenia antykwariatu. Najpierw trzeba powiedzieć, że pan Henryk łodzianinem nie jest, przywędrował do naszego miasta ze stolicy. Oczywiście, założenie antykwariatu nie było dziełem przypadku, książkowe ciągoty są bardzo stare. W Warszawie miał wspaniały księgozbiór, niestety, przyszła okupacja i trzeba go było rozrzucić w kilka miejsc.

W tych trudnych i dla ludzi i dla kultury latach, bibliofile warszawscy, wśród których prym wiódł Wiktor Gomulicki, utrzymywali ściśle kontakty. Miejscem na pół zakonspirowanych spotkań była mała księgarnia Łazowskiego przy ul. Niecałej. Właśnie pod wpływem Łazowskiego pan Maszewski postanowił założyć antykwariat. Przyszło powstanie, potem trzeba była Warszawę opuścić i zostawić książki. Zaraz na drugi dzień po wyzwoleniu pan Maszewski wraca do zniszczonego miasta, gdzie okazało się, że książki przepadły. Trzeba było startować od początku. Mimo wszystko, już 20 stycznia zaczyna handlować książkami na Pradze, za cały sklep musiał starczyć zwykły wózek. W lipcu p. Henryk przyjeżdża do Łodzi i już od 1 września 1945 roku rozpoczyna się niezwykle pożyteczna działalność „Słowa". Antykwariat znajdował się wtedy przy ul. Piotrkowskiej 60. Lokal nie przyciągał klienta atrakcyjnym wyglądem, mieścił się głęboko w oficynie, budynek nie miał prawie dachu, deszcz zatrzymywały górne piętra. Początek był trudny, trzeba było zdobyć klienta, wykazać dużą inicjatywę w zdobywaniu potrzebnych mu książek. Pan Henryk często wyjeżdżał wtedy na kilka dni w poszukiwaniu nowych tomów.

W księgarni zostawał wtedy pan Stanisław Kołodziejczyk, który przez długie lata pracował w „Słowie" i bez którego, tak twierdzą państwo Maszewscy, „Słowo" „słowem" by nie było. Po czterech latach antykwariat „przeprowadził się" do dzisiejszego lokalu, w Alei Schillera. Okres 1945—1950 śmiało można nazwać tłustymi latami antykwariatu. Wtedy można było wyszperać najcenniejsze pozycje; Warszawa, Kraków, cała Wielkopolska — to tereny, które dostarczały najwięcej książek, dużo wspaniałych dzieł znajdowało się zaraz po wojnie w dworskich księgozbiorach, sporo też można było kupić od ludzi, którzy zmieniając miejsce zamieszkania pozbywali się wielu rzeczy, a między innymi książek. Z nutką żalu wspominają państwo Maszewscy pierwsze lata działalności „Słowa". Prawda, że były niełatwe, ale właśnie wtedy antykwariat mógł się poszczycić rzeczywiście wspaniałymi zbiorami, dziś zatracił już swój pierwotny charakter, rzadko tylko można wychwycić cenniejszą książkę, więcej za to jest literatury popularnej.

„Słowo" było w tamtych czasach dostarczycielem pierwszych tomów do tworzących się bibliotek zakładowych UŁ; — stąd czerpał prof. Chałasiński, organizując bibliotekę Zakładu Socjologii, prof. Stieber, który był założycielem biblioteki Zakładu Języka Polskiego, stąd pochodziły pierwsze książki w bibliotekach Zakładu Historii Sztuki i Filozofii. Dużo się zmieniło od powojennych lat. Zmienił się antykwariat, zmienił się klient. Dziś, obok zapalonych bibliofilów, członków Klubu Miłośników Książki, działającego przy Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich, którzy często się w „Słowie" spotykają, najwięk szą grupę, często odwiedzającą antykwariat, stanowi młodzież szkolna szukająca „lektury obowiązkowej", rzadziej pokazują się studenci. Wśród klientów są także ci, co jeszcze nie tak dawno przychodzili w czapkach studenckich, a dziś są już poważnymi ludźmi na poważnych stanowiskach. Dawniej, u p. Henryka gromadził się cały światek kulturalny, w trzech księgach pamiątkowych można spotkać wiele znanych nazwisk — Z. Stieber, K. Stromenger, Ivo Gall, T. Sygietyński, A. Zelwerowicz, W. Strzemiński, A. M. Swinarski, J. Sztaudynger, J. Koprowski, K. Grus — to tylko niektóre z nich. Z tamtych czasów został w antykwariacie zabawny rysunek J. Szancera — „Mole" w „Słowie". Mole mają mocno przerzedzone włosy i olbrzymie okulary na olbrzymich nosach. Dzisiaj „mól" ma często naście lat i bardzo ważną minę na piegowatej buzi; kiedy kupuje książkę wyciąga całą furę drobniaków, widać, że pieniądze są uczciwie zaoszczędzone. Do zmian należy też wpisać typ poszukiwanej książki.

Po wojnie wielką popularnością cieszyło się wydawnictwo Trzaski, dziś klienci uganiają się za tomikami z serii „Nike". Ludzie szukają niektórych książek z różnych przyczyn; czasem odgrywa rolę element snobizmu, częściej, choć uzupełnienia zbiorów z działu szczególnie kogoś interesującego. Za to nie przyjdą tutaj ci, którzy książkę wykorzystują przede wszystkim jako przedmiot dekoracyjny.

Ale wracajmy do antykwariatu i jego gospodarza. Na swój prywatny użytek pan Maszewski wysoko ceni sobie druki związane z Warszawą i Paryżem, posiada także wspaniałe kolekcje medali literackich i exlibrisów. Przez 20 lat uzbierało się tego sporo. I tutaj szerzej o wspomnianej już ważnej uroczystości. — W styczniu „Słowo" obchodziło piękny jubileusz — 20 lat niezwykle pożytecznej i potrzebnej działalności. Dzisiaj, kiedy instytucja antykwariatu jest jeszcze dość żywa jedynie w Krakowie, jubileusz antykwariatu w Łodzi, gdzie tradycje księgarskie, mówmy szczerze, nie są znów takie wielkie, ma swoją wymowę. „Słowo" jest placówką silnie związaną z geografią kulturalną Łodzi, chociaż w przeciwieństwie do innych instytucji mieści się w skromniutkim lokalu pod równie skromnym szyldem, jest miejscem, gdzie ratuje się książkę przed bezmyślnym zniszczeniem. Z okazji jubileuszu p. Maszewski dostał wiele depesz, wiele serdecznych dowodów pamięci i przyjaźni.

Dzisiaj, antykwariatowi o prostej i pięknej nazwie, w jego 20-lecie chcę przekazać najlepsze życzenia od wszystkich anonimowych miłośników książki, oby „Słowo" żyło wśród nas jak najdłużej.

KRONIKA

Antytelewizyjna

NA TEMATY FILMOWE

Nasza telewizja może się pochwalić dość różnorodnym dorobkiem filmowym, bez którego trudno mówić o doskonaleniu i wzbogacaniu programu. Dorobkowi należy się nieco uwagi.

Oczywiście, wytwórnie anglosaskie w tej dziedzinie przodują. Taka seria jak „Doktor Kildare" to świadome celu rzemiosło, wykluczające działanie na chybił trafił, znajomość potrzeb „masowego odbiorcy", każdy odcinek jest dokładnie skomponowanym opowiadaniem czy nowelką. Nie mając dla tej serii nadmiernego szacunku, nie lekceważyłbym jednak charakterystycznej troski o walory dydaktyczne: pozytywny bohater w tradycyjnym znaczeniu nie zasługuje na tak częstą u nas pogardę.

Kiedyś René Clair, pisząc o filmowcach i filmie, powiedział: „Zawód ten ma w sobie coś ze sztuki i coś z przemysłu, i na próżno usiłowalibyśmy skierować jego podwójną naturę w jedno albo w drugie łożysko..."

Tedy w jednych wypadkach film zawiera więcej sztuki, w innych więcej „przemysłu", wykalkulowanego rzemiosła.

Z podobnym zjawiskiem, zmieniając proporcje, mamy do czynienia i u nas. Ale z tą różnicą, że i w chemicznie czystych wypadkach „przemysłu" prezentujemy niewypały, dotyczy to na przykład „Kapitana Sowy". Za to „Stawka większa niż życie" jest przykładem pełnego sukcesu, jest nim także, co prawda w mniejszym stopniu, „Wojna domowa".

Da się odnotować niewątpliwe osiągnięcia i w dziedzinie filmu telewizyjnego, kierującego się ambicjami „sztuki". Wystarczy powołać się na „Wystrzał", „Piwo".

Należy przypuszczać, iż ze skrzyżowania wymogów sztuki z wymogami przemysłu będą w zasadzie powstawać nowe filmy telewizyjne, zarówno seryjne jak i pojedyncze. Będziemy szczególnie cenić prezentację sztuki filmowej, ale nie będziemy też lekceważyć udanych produktów przemysłu filmowego. W tym drugim wypadku, po dość długich doświadczeniach produkcyjnych, pudła w postaci półfabrykatów powinny być zredukowane do minimum, łatwiej bowiem wybaczyć i zrozumieć klęskę rzetelnej ambicji artystycznej, niż braki produktu przemysłowego.

I wobec tego, sięgając po informację prasową, nie od rzeczy będzie i naszym czytelnikom podać obietnice TV. Co nas czeka?

2-odcinkowy „Mistrz" wg scenariusza Zdzisława Skowrońskiego w reżyserii Jerzego Antczaka z Ignacym Gogolewskim w roli głównej (dramat psychologiczny aktora teatralnego w okresie okupacji); 7-odcinkowe „Przygody Marka Piegusa" na podstawie powieści dla młodzieży Edmunda Niziurskiego; 3-nowelowa komedia „Perły i dukaty" Józefa Hena; współczesna seria „Bez aktu oskarżenia" Danuty Kępczyńskiej i Jerzego Ziarnika o prokuratorze zajmującym się sprawami interwencyjnymi; „Spotkanie o zmroku" Jana Rybkowskiego (dramat psychologiczny z przełomu XIX i XX wieku z Kaliną Jędrusik i Gustawem Holoubkiem); „Kolegium" Mariana Promińskiego (makabreska z... zaświatów); 2-odcinkowe „Na rozdrożu" Jerzego Antczaka wg Czechowa (temat: rozkład zjawiska rosyjskiego); „Jubileusz" Jana Rybkowskiego na podstawie utworu Kazimierza Brandysa „Sobie i państwu"; również tego autora i w tejże serii „Bardzo starzy oboje"; 2 dalsze odcinki z cyklu „Podziemny front": „Kapitan Piotr" i „Skarb w Winterhofie"; „Śmierć w środkowym pokoju" w reżyserii Andrzeja Trzosa (z Aleksandrą Śląską); seria półgodzinnych filmów „Czterej pancerni i pies" Janusza Przymanowskiego i Stanisława Wohla w reż. Konrada Nałęckiego; 7 dalszych odcinków „Wesoły domowej"; 15-minutówka „Chcę się ogolić" Andrzeja Kondratiuka (współczesny film sensacyjny).

Zobaczymy, co z tego będzie sztuką, a co przemysłem, co zaś z kolei szczęśliwym skrzyżowaniem sztuki i przemysłu.

Jeśli chodzi o ub. tydzień — obejrzeliśmy m. in. dwa skecze Sławomira Mrożka. Rzadko się zdarza, by czyjaś twórczość symbolizowały same szczyty. Między Mrożkiem od „Podwieczorków przy mikrofonie" a Mrożkiem od „Zabawy" i „Tanga" dadzą się umieścić owe dwa skecze dobrze zagrane przez aktorów, poniekąd specjalizujących się w interpretacji jego postaci, skecze pozbawione większego dynamizmu. A gdyby i w tym wypadku ktoś chciał koniecznie szukać wykładni, zaproponowałbym następującą: „Bądźmy podejrzliwi względem własnej i cudzej szlachetności!" (A względem czego w końcu mamy mieć zaufanie?)

Jan Huszczyk

JAK ZAPRENUMEROWAĆ „ODGŁOSY"?

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę „Odgłosów" przyjmują oddziały i delegatury „Ruch" oraz urzędy pocztowe i listonosze w terminie do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty wynosi:

miesięcznie	— zł 4.—
kwartalnie	— zł 12.—
półrocznie	— zł 24.—
rocznie	— zł 48.—

Informacji o przyjmowaniu prenumeraty i sposobie zamawiania udzielają wszystkie placówki „Ruchu" i poczty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia nr 23. konto PKO 20-46-88, konto PKO nr 100024.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Sądząc po filmowej komedii okresu powojennego należałoby przypuszczać, że Polska jest krajem ponuraków. Nie mamy — niestety — zbyt wielu sukcesów w tej dziedzinie. A szkoda, przecież komedia filmowa to prawdziwy potentat w historii kina. Najsławniejsze nazwiska wyrosły właśnie na niej. Poza tym — i to chyba najważniejsze — jest to ulubiony gatunek publiczności. Widz lubi pośmiać się w kinie beztrosko, zapomnieć przez dwie wesołe godziny o swych zmartwieniach, kłopotach. To też pozazdrościć można Francji, która nie ma tych trudności z komedią. Francuzi wydają się być szczególnie utalentowani w tym kierunku. Lekkość, błyskotliwość, często wręcz finezyjność ich dowcipu zapewniają atrakcyjność stworzonym przez nich komediom.

Komikiem światowej miary, nawiązującym do najlepszych tradycji filmowej komedii okresu niemego jest Pierre Etaix. To wielki talent i prawdziwa indywidualność. Na polskie ekrany wchodzi właśnie jego film **„JO-JO"** — istne arcydzieło sztuki komediowej. Przed premierą swego wcześniejszego filmu — „Zalotnik" Etaix mówił: „Wydaje mi się, że widzowie już zagubili umiejętność czytania obrazów, która dla mnie jest głównym elementem komizmu. Cóż za paradoks: dla odbioru sztuki obrazu potrzebujemy słowa, by zrozumieć..." Twórczość Etaix odnawia we współczesnym widzu tę przygłuszoną przez dowcip słowny filmu dźwiękowego umiejętność. Komizm sytuacyjny jego filmów budowany jest niemal wyłącznie przez obraz. Słowo jest tylko dodatkiem, uzupełnieniem stosowanym często na zasadzie kontrapunktu. Rzecz charakterystyczna — w tworzeniu sytuacji komicznych w daleko większej mierze uczestniczą ze sfery dźwiękowej odgłosy niż słowo. Nawiązując w swych filmach do poetyki komedii niemych, Etaix buduje przed naszymi oczami królestwo gagów. Nie następują one po sobie w szaleńczym tempie, jak to na przykład bywa w filmach Chaplina. Etaix rozwija sytuacje z rozmysłem, powoli, z niesłychaną precyzją. W każdym swym gagu każe nam się rozsmakowywać. Toteż reakcja publiczności jest trochę odmienna niż na „zwariowanych" komediach niemych. Więcej jest tu uśmiechu niż śmiechu. Widzom daje się czas do zastanowienia, zadumy, kontemplacji. Ten typ humoru znakomicie współgra z dużym ładunkiem liryzmu, jaki niesie „Jo-jo". Żywiołowość, huraganowość komedii niemych zastąpiona została tutaj przez finezyjność formy. W tym filmie nie ma ani jednej sceny niepotrzebnej, ani jednego ujęcia, które by można wyrzucić bez szkody, bez żalu. Każdy gest, każdy ruch aktora, kostium najmniejszy nawet rekwizyt — wszystko to wyważone jest z precyzją, gra i współgra doskonale tworząc film jednorodny stylistycznie i nastrojowo. Zadziwia przy tym pomysłowość Etaix. Jego gagi mają jakże cenny urok pomysłowości, oryginalności, świeżości. Są znakomite. Czasem reżyser dodaje do nich spore ziarnko goryczy. Tak jest na przykład w scenie, kiedy w czasie popisu Jo-jo na froncie dla żołnierzy roześmiane twarze mężczyzn zastygają w nagłym przerażeniu, a ręce ich podnosza się na znak poddania — na estradzie zamiast Jo-jo stoją Niemcy z karabinami wycelowanymi w publiczność. Wspaniały jest pomysł, żeby tę część filmu, która opowiada o wydarzeniach lat 1925—1929 wystylizować na film niemy. Nie pada tu ani jedno słowo, za to odgłosy zwielokrotniają swe natężenie: każde skrzypnięcie drzwi, każde stuknięcie urasta do niebywałych rozmiarów i potęguje wrażenie komiczności. Dodajmy, że znaczna rola przypada w „Jo-jo" muzyce, która współtworzy wzruszający liryzm filmu.

„Jo-jo" jest dziełem naprawdę doskonałym, pięknym i ambitnym. Widać, że film ten wyszedł spod ręki mistrza.

Nic dziwnego, że w takim towarzystwie **„PAN DO TOWARZYSTWA"** wypada dość blado. Co więcej — przyznam, że jak byłam zachwycona komedią Etaix, tak film Philippe'a de Broki rozczarował mnie, a nawet zirytował. Największą jego wadą był chyba scenariusz. „Pan do towarzystwa" jest po prostu straszliwie głupawy. I to bez nowatorstwa, które zapewniłoby mu z pewnością trochę wdzięku. Sytuację ratuje co prawda świetny aktorsko Jean Pierre Cassel, który jest najbardziej uroczym leniem filmowym pod słońcem, ale nie może uratować jej do końca. Dlaczego leniem? Otóż dlatego, że film opowiada o losach człowieka, którego wychowywano w duchu bezgranicznego lenistwa i który idzie przez życie nie skalawszy ni razu rąk pracą. Do czasu jednak, do czasu... Bo kiedy bohater trafia na kobietę, którą naprawdę pokochał, wszystko zaczyna się odmieniać. Kobietę ową spotyka jednak pod sam koniec filmu. Przez cały prawie czas oglądamy więc lenia nad leniami. Niestety, dowcipy na jego temat nie zawsze mają miarę, jakiej należałoby oczekiwać. Są chwilami dość płaskie, w nie najlepszym smaku. Jeśli warto ten film obejrzeć, to przede wszystkim dla Jean Pierre Cassela i jego uroczych, choć pozostających w cieniu scenariusza partnerek: Catherine Deneuve, Iriny Demick, Sandry Milo i Valerie Langrage.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

JAK PRACUJE IONESCO

■ Przedstawiciel francuskiego ilustrowanego magazynu „Paris Match" zastaje dramaturga Eugène Ionesco (ur. 1912, „Krzesła", „Nosorożec") przy posiłku. Rozmowa więc toczy się początkowo na tematy kulinarne. Okazuje się, że wielki dramaturg lubi pomidory i karczochy. Befsztyki, owszem, jada, ale nie krwawe, gdyż pisarz nie znosi widoku krwi. Czy lubi szpinak? Ależ tak, lubi. Szpinak, oświadcza Ionesco, korzystnie wpływa na twórczość dramatyczną.

Pod koniec posiłku Eugène Ionesco, dramaturg, którego sztuki tak chętnie wystawiają prawie wszystkie sceny świata, zdradza tajniki swego warsztatu twórczego.

„Teraz nie piszę, lecz dyktuję" — stwierdza. „Nie mam cierpliwości do pióra. Gdybym pisał, to w przeciągu pięciu minut pozabijałbym wszystkie postacie sceniczne i nie byłoby w ogóle sztuki. Na wpół leżąc w fotelu z wygodnymi podpórkami pod łokcie, poddaję się natłokowi obrazów, które zjawiają się w mojej wyobraźni. Przed rozpoczęciem pracy mam wściekłą tremę, tak jakbym miał publicznie przemawiać".

Dramaturg dyktuje swoje dzieło sekretarce. Nie przychodzi mu to jednak łatwo i Ionesco stwierdza że dyktuje z ogromnym wysiłkiem.

„Często zachodzi zjawisko, które wyrywa mnie z transu pracy — mówi pisarz. — Mianowicie nagle przychodzi mi do głowy jakiś pomysł zupełnie innej sztuki, która sama zaczyna się rozwijać, np. sztukę pt. „Le Roi se meurt" (Król umiera) zacząłem dwadzieścia razy i za każdym razem powstawała jakaś inna. Dzieło twórcy — mówi Ionesco — przychodzi na świat jak dziecko, już całkowicie ukształtowane, w rytmie powolnym lecz nieprzerwanym.

Jak długo pisze Ionesco jedną sztukę sceniczną? „W przeciągu sześciu, czasem czterech tygodni całość jest już gotowa" — mówi dramaturg. „Moim pierwszym audytorium jest żona, Rodica. Jej krytyczne uwagi są tak surowe, że nagle tracę cierpliwość, nie mogę już dłużej słuchać i wychodzę z pokoju trzaskając drzwiami."

Eugène Ionesco.

W „Komedii Francuskiej" grana jest teraz najnowsza sztuka Ionesco pt. „La Soif et le faim" (Pragnienie i głód) z Robertem Hirschem w roli głównej. Jak podała prasa zespół „Komedii Francuskiej" po przedstawieniach paryskich wybiera się ze sztuką „La Soif et le faim" na Węgry, do Bułgarii i do Polski.

Przypominamy przy okazji, że dwie jednoaktówki Ionesco „Lekcja" i „Szaleństwo we dwoje" grane są obecnie w Łodzi.

PRZEWODNIK PO ZABYTKACH Z DUCHAMI

■ Angielskie towarzystwo turystyczne wydało przewodnik po historycznych zabytkach ze specjalnym uwzględnieniem tych starych budowli, w których pojawiają się duchy.

W przewodniku znalazły się zarówno opisy wyglądu poszczególnych duchów, jak i pory ich pojawiania się. Tak np. w zamku Windsor można zapoznać się około północy z duchem Henryka VIII Tudora, a nieco później (lub nieco wcześniej) pojawia się duch jednej z jego żon. Duchy małżonków pojawiają się jednak w zamku Windsor w takim odstępie czasu, aby przypadkiem jedna zjawa nie naruszyła się na drugą.

FILM EKSPERYMENTALNY WEDŁUG SZTUKI BECKETTA

■ Eksperymentalny film według sztuki Samuela Becketta pt. „Comedie" nakręcają razem trzej francuscy reżyserzy: Jean-Marie Serreau, specjalista od nowoczesnego teatru, Marius Karmitz, były asystent Godarda i Jean Ravel. Główne role w filmie grają: Michel Londsdale, Eléonore Hirt i Delphine Seyrig.

OBRAZY ŚWIATA WIDZIANEGO PRZEZ MIKROSKOP

■ Inspiracją dla twórczości malarki Andrée Cuvilier jest natura widziana przez mikroskop. Artystka maluje wycinki skał, kwiatów, muszli. Obrazy te, o żywych, zaskakujących barwach i ciekawych układach „abstrakcyjnych" plam, przedstawiają ciekawą wizję świata oglądanego w powiększeniu od 30 do 3.000 razy. Tytuły obrazów: „Pióra pawia", „Gwiazda mórz", „Ognisty ptak" itp.

FESTIWAL NIEDOKOŃCZONYCH FILMÓW

W ramach tegorocznego festiwalu filmowego, który odbędzie się w Cannes między 5 a 20 maja, odbędzie się także „Festiwal filmów nieukończonych". Pokazane będą filmy, które nie mogły być skończone albo na skutek braku finansów, albo na skutek śmierci głównego aktora. I tak m. in. wyświetlone zostaną: „Don Kichot" O. Wellesa „La fleur de l'age" Marcela Carne „L'enfer" Clouzota i „Something's Got to Give" z Marylyn Monroe.

LITERATURA OBCA WE FRANCJI

■ Ponad 15% książek, które wyszły w zeszłym roku we Francji stanowią tłumaczenia z języków obcych. W porównaniu z rokiem 1964 jest to nieznaczny wzrost, bo zaledwie 0,3%. Na pierwszym miejscu znalazły się tłumaczenia z języka angielskiego, następnie niemieckiego, rosyjskiego, włoskiego i hiszpańskiego. Przeciętny nakład tłumaczonej książki wynosi 4 do 5 tysięcy, to jest taki, jaki ma zwykle książka francuskiego debiutanta.

Jednym z najbardziej czytanych autorów zagranicznych jest Günter Grass.

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE NARODZIN DADA

■ Szóstego lutego 1916 roku o godzinie 9 wieczorem w ciemnej od tytoniowego dymu knajpie na Starym Mieście w Zurychu, urodził się artystyczny ruch Dada. Powołali go do życia malarze, poeci, muzycy, aktorzy kabaretowi. Byli wówczas w tej knajpie Hans Arp, Richard Hülsenbeck, Hans Richter, Hugo Ball, Tristan Tzara, Emmy Hennigs i wielu innych. Wielu z nich już nie żyje, wielu stało się sławnymi na cały świat.

W przeciągu zaledwie kilku miesięcy ruch rozprzestrzenił się. Ośrodki dadaizmu powstawały w Berlinie, Paryżu, Nowym Jorku, w Wiedniu, Rzymie i Budapeszcie. Był to ruch spontaniczny, nie zorganizowany. Wojna trwała. I z protestu przeciw dętemu patosowi wojennych haseł, wyrósł ruch, który w negacji mieszczańskich pojęć chciał się doszukać nowych socjalnych i artystycznych rozwiązań. Jego adepci nie wiedzieli, czego chcą. Wiedzieli jednak czego nie chcą. Krzyczeli, osądzali, pogardzali, wyszydzali, podważali zasady mieszczańskiej mentalności.

Dzięki sile i pasji, dadaiści choć nie stworzyli konstruktywnego programu, inspirowali takie kierunki artystyczne jak fowizm, ekspresjonizm, kubizm czy surrealizm.

Jeszcze dziś zaznaczają się wpływy Dada w takich stylach naszej epoki jak teatr absurdu, jak nowa fala w filmie i w powieści. I wszystko to okazuje się legalnym lub nielegalnym potomkiem namiętnego, fanatycznego niegdyś ruchu Dada, który narodził się w szwajcarskiej piwnicznej knajpie, pięćdziesiąt lat temu.

ŚMIERĆ FERNANDY OLIVIER

■ W Neuilly zmarła ostatnio Fernanda Olivier, która przez kilka lat była towarzyszką życia Picassa.

W letni wieczór, 1905 roku, gdy na dworze szalała burza, Fernanda poznała na Montmartrze młodego malarza Hiszpana. Malarz zaproponował jej aby wstąpiła do jego pracowni i zaczekała pół godziny burza nie minie. Fernanda zgodziła się. Ale od Picassa — bo to on był tym młodym Hiszpanem — wyszła dopiero po dziewięciu latach. Była przez ten czas jego natchnieniem, modelką i towarzyszką życia. I te właśnie lata (okres tzw. różowy w twórczości Picassa) uczyniły go sławnym.

W swej książce wydanej w roku 1923 pt. „Picasso i jego przyjaciele" Fernanda Olivier wspomina ludzi, z których wielu osiągnęło potem sławę. Wspomina m. in. Apollinaire'a i jego przyjaciółkę, malarkę Marie Laurencin, Maxa Jacoba, Matisse'a, Gertrudę Stein i jej brata Leo i wielu innych.

W roku 1911 nastąpiło zerwanie Fernandy z Picassem. Fernanda chcąc wzbudzić jego zazdrość, wszczęła flirt z pewnym włoskim malarzem. Zazdrości w Picassie nie wzbudziła, a z Włochem nie była szczęśliwa. Picasso zaś znalazł sobie nową towarzyszkę życia, Marcelle Humbert. Spędził z nią kilka lat życia. Teraz Marcelle z kolei stała się modelką i natchnieniem Picassa, tym razem w jego okresie malarstwa kubistycznego.

Fernanda miała zabezpieczoną starość, gdyż Picasso ofiarował jej miesięczną, dożywotnią rentę w wysokości miliona starych franków.

ROSSINI I MAKARON

■ „Czy jest gdzie taki drugi kucharz w Paryżu, czy nawet w Neapolu, który umiałby tak przyrządzić makaron jak Rossini?" — pisał w 1854 roku dziennik „Moskwitjanin". Chodziło o wielkiego włoskiego kompozytora Rossiniego. Kiedyś Rossini przyznał się, że płakał tylko dwa razy w życiu. Raz, gdy usłyszał grę Paganiniego i drugi raz, gdy upuścił talerz z makaronem. Zapisując żartobliwe miniatury fortepianowe kompozytor dawał im takie tytuły jak: „Zielony groszek" albo „Oliwa, rzodkiewka, czosnek i pikle"... Muzykolodzy oczywiście nie interesowali się twórczością kulinarną Rossiniego. Zainteresował się nią jednak i dokładnie wynotował przepisy na przyrządzanie makaronów pewien francuski kucharz i dzięki niemu mistrzowie sztuki kulinarnej mogą dziś jeszcze korzystać z gastronomicznych osiągnięć wielkiego kompozytora, twórcy takich oper jak „Cyrulik sewilski" czy „Wilhelm Tell".

KRADZIEŻE OBRAZÓW

■ Z muzeum w Columbus (stolica stanu Ohio w USA) skradziono w lutym obraz Paula Cézanne'a.

W kilka dni później prasa doniosła o nowej kradzieży obrazu. Tym razem zniknęło płótno Marca Chagalla z galerii sztuki w Sztokholmie.

PROCES ZOFII LOREN I CARLO PONTI O BIGAMIĘ

■ 28 kwietnia ma się odbyć w Rzymie proces o bigamię, przeciwko Zofii Loren i Carlo Ponti. Zawarli oni małżeństwo w roku 1957 w Meksyku. Wprawdzie producent filmowy, Carlo Ponti uzyskał rozwód w Paryżu ze swą pierwszą żoną, ale prawo włoskie nie uznaje rozwodów. We Włoszech kara za bigamię wynosi do 5 lat więzienia.

Zofia Loren, która właśnie kreuje główną rolę w filmie Charlie Chaplina „Hrabianka z Hongkongu", powiedziała w Londynie do dziennikarzy: „Być może, że niedługo będę grała w filmie, którego tematem będzie moje własne życie."

Zofia Loren w najnowszym filmie Chaplina „Hrabianka z Hongkongu".

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Dla pisarza wydanie książki to jak, dla malarza lub rzeźbiarza wystawa. Książka jest ukoronowaniem kilkuletniej pracy pisarza. W związku z powyższym uważam, że do zjawisk kulturalnych naszego miasta, godnych odnotowania w N.K. należy włączyć nowe pozycje książkowe pisarzy łódzkich, które ukazują się w witrynach i na półkach księgarskich.

Należy je sygnalizować niezależnie od późniejszych omówień i recenzji.

Zaczynamy. Jan Czarny „TRESOWANY MOTYL" W.Ł. Na skrzydełku udu-chowiona podobizna autora. Str. 182, opowiadań 39. Dowcip, refleks (swoisty) i głębia. 23. II. 66 r. str. 43 — duży wstrząs. 28. II. 66 — trochę ulgi i powiew radości życia. 3. III. 66 — no, jednak humanitaryzm zwycięża.

Czytajcie sami. Uważajcie tylko, bo Czarny raz lewe, a raz prawe oko mruży.

WTOREK

Życie daje człowiekowi coraz to nowe lekcje, a mimo to szaleństwa nadal trzymają się głowy. Oto dylemat, z którym każda epoka, pokolenia a nawet pojedynczy człowiek stara się po swojemu uporać: jak stare prawdy i doświadczenia „przeflancowywać" na grunt nowych i zaskakujących sytuacji?

Sądzę, że „Lekcja" i „Szaleństwo" w Teatrze Nowym powinny dać pewne wyjaśnienia o tym odwiecznym konflikcie doświadczenia z czasem. Bo weźmy jako przykład samego autora obydwu sztuk: szokowanie ekstrawagancką konwencją okazało się „tylko" zaskakiwaniem doświadczenia nowym lub nieco odmiennym spojrzeniem. Po paru latach „nowe spojrzenie" zostaje zweryfikowane „starym doświadczeniem" i szaleństwo Ionesco okazuje się jeszcze jedną lekcją historii.

Ionesco teraz to już nie „bełkot", każdy z „Łysą śpiewaczką" za pan brat. Pójdę i ja — może wreszcie pojmę w czym rzecz, o której mowa.

ŚRODA

Różnie bywa. Niekiedy najlepsze intencje obracają się przeciwko człowiekowi. „Poznali się na dworcu Łódź-Kaliska przy piwku". (Ładne. Zaczyna się jak współczesna, ale romantyczna miłość). Później on zaproponował mały spacerek, uważając zapewne, że ciepła przedwiosenna noc nie tylko sprzyja zdrowiu, ale również katalizuje szlachetne porywy. Gwiazdy świeciły i księżyc i tak było jak w symfonii pastoralnej i coś wzbierało, wzbierało w duszy: aż poryw jak tajfun uniósł. Eugeniusz B. obezwładnił (przygodnego towarzysza od piwka), porwał radio tranzystorowe marki „Selga" (własność tego od piwka) uciekł, usiadł na ławce w parku, złapał koncert Mozarta, słuchał i płakał, a płakał słuchając.

Niestety, zaalarmowani funkcjonariusze MO przerwali Eugeniuszowi B. to — może pierwsze w jego życiu i może ostatnie — wielkie zauroczenie sztuką i nie rozpoznając w ciemności najlepszych intencji, odprowadzili na komisariat.

CZWARTEK

W salonie fotografiki ŁTF w Łodzi, ul. Struga 2 6. III. 66 r. otwarcie wystawy fotografiki Tadeusza Linka, na które zaprasza Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne.

Radzę pójść. Nie zwlekać. Kumulacja pasji fotograficznych, wyładowana niestosownie, może również obrócić się przeciwko człowiekowi.

PIĄTEK

„Działoszyn w plastyce". BWA w Łodzi park im. H. Sienkiewicza. Wystawa otwarta, wiele pięknych prac — oleje, akwarele technika mieszana — eksponują malarze łódzcy.

W dniach od 9—22 sierpnia 1965 r. został zorganizowany w Działoszynie pow. Pajęczno, plener malarski dla grupy złożonej z 21 artystów, członków Łódzkiego ZPAP.

Plon pracy w plenerze ilustruje wystawa. Malowniczy pejzaż działoszyński, rozrastające się osiedle przemysłowe, cementownie, wapienniki, kamieniołomy, stary Działoszyn oraz „Nad Wartą" — oto tematyka wystawy. Interesujące prace eksponują W. Garboliński, M. Horbaczewska-Wolańska, B. Liberski, H. Strzyż-Garbolińska, K. Liberska, A. Muszka, J. Tyblewski, K. Cepalin-Joskowicz, T. Wolański i inni.

Obejrzałem wystawę i doszedłem do wniosku, że znakomicie idzie praca w grupie i w stadłach.

SOBOTA

Tam obrady już na całego, a ja jeszcze mam drugą połowę twarzy do ogolenia. Golić, nie golić? Ogoliłem.

Sympozjum Młodych Twórców Polski Centralnej zaczęło się punktualnie 5. III. 66 r. (sobota) o godz. 10. Obradowano, z przerwami na obiady i kolacje, dwa pełne dni.

Organizatorzy: — Klub Młodych Twórców „Grupa XX" działająca pod patronatem Zarządu ZMS i Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki.

Na zakończenie powołano Federację Klubów Młodych Twórców.

No proszę: i „młodym być, tylko młodym być i mieć wciąż dwadzieścia lat".

NIEDZIELA

Wezwany felietonem Jana Koprowskiego utkałem pracowicie i skrycie przed zawistnym ludzkim okiem — nakolenniki. Przyjdzie mi bowiem, w myśl tego wezwania, paść nie raz i nie dwa na oba kolana przed majestatem Kobiety w Jej święcie.

Kobieta jak matka ziemia. — Nie ma życia bez Niej. Kobieta rodzi, Kobieta żywi, Kobieta podpiera, Kobieta-Opoka. Na kolana!

Ale ja pójdę nie do sławnych i potężnych „Kobiet Tysiąclecia", lecz do tych cichych, skromnych bohaterek codziennego trudu, codziennych trosk, łez i uśmiechu, do wszystkich, o których nigdy nie wspomni historia. Spróbuję (na klęczkach) pojąć to, co w ich sercach małe i wzniosłe, jasne i zawiłe, niszczące i uskrzydlające, spróbuję zrozumieć, ocenić i opisać.

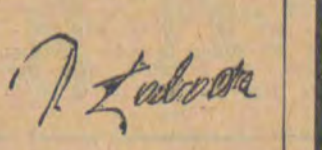

POLONICA

WIEDEŃSKIE DYSKUSJE

Grudniowy numer wydawanego w Wiedniu miesięcznika „Wort in der Zeit", poświęcony jest w całości dyskusji, jaką na jesieni roku ubiegłego zorganizowano w stolicy Austrii z udziałem pisarzy i krytyków ze wschodniej i zachodniej Europy. Oto niektóre problemy, postawione do dyskusji: „Czy powieść „realistyczna" ma jeszcze dzisiaj sens? Co oznacza realizm w powieści? Czy powieść dzisiejsza winna podejmować aktualne problemy czasu, czy też ma odtwarzać jedynie subiektywne stany wewnętrzne pisarza? Czy powieść może wyrażać pogląd na świat, wywierać wpływ na rozwój społeczeństwa, angażować się i być przy tym dziełem sztuki?"

Ze strony polskiej udział w tym międzynarodowym sympozjum wzięli Roman Karst, Tadeusz Konwicki i Zbigniew Herbert. We wspomnianym numerze „Wort in der Zeit" znajdujemy wypowiedzi Karsta i Konwickiego.

HENRYK SZERYNG

Polski skrzypek-wirtuoz, mieszkający stale w Meksyku, udał się na tournee po Niemieckiej Republice Federalnej. W związku z tym dziennik hamburski „Die Welt" (18 stycznia br.) zamieszcza artykuł o nim, w którym m. in. czytamy: „47-letni, urodzony w Polsce Meksykańczyk, zasłynął głównie jako interpretator Bacha, Beethovena i Brahmsa, najpierw przez nagrane płyty, a później, dzięki pomocy Artura Rubinsteina, również w salach koncertowych". Henryk Szeryng w czasie wojny przebywał w Anglii jako tłumacz w sztabie Sikorskiego, gdyż oprócz talentów muzycznych, jest on także znakomitym poliglotą (włada biegle kilkoma językami).

PROBLEMY WSPÓŁCZESNOŚCI

W bratysławskim tygodniku „Kulturny život" (21 stycznia br.) znajdujemy artykuł, a raczej felieton pt. „Mladi a sucasnost' v Pol'sku'" (Młodzi a problemy współczesności w Polsce), w którym autor rozważa, jakie tematy porusza ją młodzi pisarze polscy w swoich książkach. Za podstawę rozważań posłużyły autorowi dwa artykuły: Andrzeja Wasilewskiego w „Kulturze" (Nr 7 ze stycznia br.) i Leszka Proroka we „Współczesności". Autor artykułu, podpisany inicjałami J.S. twierdzi, że młodych pisarzy nie tylko w Polsce, ale wszędzie nie frasują wielkie, uniwersalne tematy, lecz raczej małe sprawy małych ludzi, będące w zasięgu ich bezpośredniej obserwacji. Nie jesteśmy pewni, czy autor ma rację, ale wywody jego są ciekawe.

POLSKA LITERATURA

Pod tym tytułem („Polnische Dichtung") zamieścił znany przyjaciel Polski, Franz Theodor Csokor, artykuł na łamach dziennika hamburskiego „Die Andere Zeitung" (z 6 stycznia br.). Csokor, dramaturg i powieściopisarz, od lat prezes austriackiego PEN-Klubu, zajmuje się w tym artykule oceną polskiej literatury powojennej, a osobliwie dwiema książkami Zbigniewa Herberta „Studium przedmiotu" (zbiór wierszy) i „Barbarzyńca w ogrodzie" (eseje). Jak wiadomo obydwie te publikacje ukazały się w przekładzie na język niemiecki, a za „Studium przedmiotu" otrzymał Herbert międzynarodową nagrodę austriacką im. Lenau'a.

W. SOMERSET MAUGHAM

MAŁŻEŃSTWO z rozsądku

Człowiek, którego kapitan nazywał Monsieur le Gouverneuer, był małego wzrostu i o bardzo brzydkiej twarzy. Miał gęstą siwiejącą czuprynę, szare krzaczaste brwi i obfite wąsy. Wyglądał jak pudel i miał łagodne, mądre oczy pudla. Kiedy później spotkaliśmy się przy obiedzie, przyszła również żona gubernatora, którą posadzono po prawej stronie kapitana. Była wysoka, potężnie zbudowana, w czarnej jedwabnej sukni. Jej postać miała coś z pomnika tak, że nadawałaby się doskonale do roli Germanii lub Bawarii w czasie pochodów i na festynach.

Na tak małym parowcu niemożliwością było odizolować się od ludzi i jeśli tylko nie przebywałem w swej kajucie, skazany byłem w każdej chwili na towarzystwo podróżujących wraz ze mną pasażerów. Dni upływały na rozmowach o tym i owym, wieczorami jedliśmy wspólnie kolację, a potem siadaliśmy znowu na pokładzie pod wysokim niebem, usianym gwiazdami. Nie mogłem nie zauważyć, że mały gubernator dłoń swojej żony trzymał wciąż w swojej dłoni — widok zaiste wzruszający.

„Czy pan wie, że właśnie dziś mija rocznica, gdym poznał moją żonę?", podjął nagle rozmowę gubernator, zwracając się do mnie. „Słuchaj, mój drogi" — wtrąciła jego żona — „chyba nie zamierzasz zanudzać swoich przyjaciół tą starą historią?" — „Ależ to ich zainteresuje, mon petit chou". Zawsze używał tego wyrażenia, zwracając się do swojej żony, i było co najmniej dziwne, odzywać się do tak majestatycznie wyglądającej damy właśnie w ten sposób. „Wie pan, nasze małżeństwo, mówiąc krótko i zwięźle, powstało z rozsądku".

„Byłoby szaleństwem zaprzeczać", powiedziała dama, „Ale niekiedy miłość przychodzi dopiero po ślubie".

„Musi pan wiedzieć", gubernator ciągnął dalej, „że gdy miałem lat 49, ministerstwo spraw kolonialnych zaproponowało mi stanowisko gubernatora. Zakątek świata, do którego miałem się udać, był dość odległy i położony na uboczu. Mimo to zgodziłem się na tę propozycję z radością. Minister oświadczył, że w ciągu miesiąca muszę się przygotować do podróży. Odpowiedziałem, że dla kawalera jest to sprawa prosta". „Co, pan jest kawalerem?" — zawołał minister. — „W takim razie muszę cofnąć moją propozycję. Na to stanowisko mogą jechać tylko ludzie żonaci". To zbyt długa historia, aby ją panu opowiadać. W każdym razie na skutek skandalu, jaki

wywołał mój poprzednik, mieszkając w pałacu gubernatora z tubylczymi dziewczętami, następny gubernator musi prowadzić się nienagannie". „Ale co ja mam robić?" zawołałem z rozpaczą.

„Ożeń się pan!" zawyrokował minister.

„Ale, panie ministrze, ja nie znam żadnych kobiet. Nie jestem typem dla kobiet i mam 49 lat. Skąd mam wziąć żonę?"

„Nic prostszego. Niech pan da ogłoszenie do gazety". Nie wiedziałem co na to odpowiedzieć. „A więc, niech się pan zastanowi", powiedział minister. „Jeśli w ciągu miesiąca znajdzie pan żonę, może pan jechać. Nie będzie żony — nie będzie posady. To moje ostatnie słowo". Zaśmiał się. Dla niego była to rzecz nie pozbawiona humoru.

Dałem ogłoszenie do „Figara". Gubernator uderzył mnie ręką w kolano. — Drogi panie, nie uwierzy pan: otrzymałem 4372 oferty. Po prostu lawina listów. Musiałem wziąć taksówkę, aby przewieźć to wszystko do hotelu. A więc 4372 damy są gotowe dzielić moją samotność i zostać panią gubernatorową. Były wśród nich dziewczęta z wytwornych rodzin, mające wyższe studia. Były wdowy, których mężowie zmarli w lirycznych okolicznościach, i inne, których dzieci miały się stać dla mnie pociechą na stare lata. Były blondynki i brunetki, duże i małe, grube i wysmukłe. Niektóre z nich znały sześć języków, inne grały na fortepianie. Niektóre ofiarowały mi miłość, inne tęskniły do miłości. Jedne z nich posiadały fortuny, inne — złote widoki na przyszłość. W końcu straciłem cierpliwość. Gubiłem się wśród stosu listów i fotografii. Aby się rozerwać, poszedłem do kawiarni de la Paix. Po jakimś czasie zjawił się przyjaciel. „Co cię trapi, że jesteś taki mroczny?" — spytał. Byłem zadowolony, mogąc opowiedzieć mu moje zmartwienie. Roześmiał się na cały głos. Potem rzekł: „Posłuchaj. Mam kuzynkę w Genewie. Jest Szwajcarką i pochodzi ze znakomitej rodziny. Posunięta w latach, wolna, bo przez ostatnie lat piętnaście pielęgnowała chorą matkę, która, niestety, już nie żyje. Jest sympatyczna, a oprócz tego niebrzydką". — „Wydaje mi się, że to egzemplarz zupełnie wyjątkowy", zauważyłem, „ale zapominasz o jednym. Dlaczego miałaby ona zerwać ze swoim dotychczasowym życiem i pojść z 49-letnim mężczyzną na wygnanie? Jestem brzydki. Brzydki brzydotą, która ani nie przeraża, ani wzbudza podziw, lecz jedynie prowokuje do śmiechu — i to jest najgorsze ze wszystkiego".

— Pragnę zakończyć moją opowieść — powiedział gubernator. — Po mojej uwadze, przyjaciel stwierdził: „Nigdy nie wiadomo, jak to jest z kobietami. Zamążpójście pociąga je jak coś magicznego. To schlebia kobiecie, jeśli się zabiega o jej rękę. Najwyżej może ci odmówić. Jedź do Genewy i wręcz kuzynce rzekomo ode mnie pudełko pralinek. Powiedz jej, o co chodzi i oświadcz się".

Gubernator wskazał na swoją żonę. „A oto ona. Pobraliśmy się wkrótce i zostałem gubernatorem. Wziąłem skarb, moi panowie, żonę o cudownym usposobieniu i charakterze".

Teraz zabrała głos ona. „Faktem jest, że w małżeństwie z rozsądku nie obiecujemy sobie zbyt wiele i dlatego jesteśmy mniej rozczarowani. Aby dwoje ludzi było szczęśliwych, muszą się szanować, pochodzić z podobnych środowisk społecznych i mieć wspólne zainteresowania. Albowiem, jeśli są to ludzie przyzwoici i chcą nie tylko brać, lecz i obdarowywać, żyć i innym żyć pozwolić, nie ma powodu, aby ich związek nie mógł być równie szczęśliwy jak nasz".

PRZEKŁAD JK.

DZIWNE SPRZĘTY YRJO LIIMATAJNENA

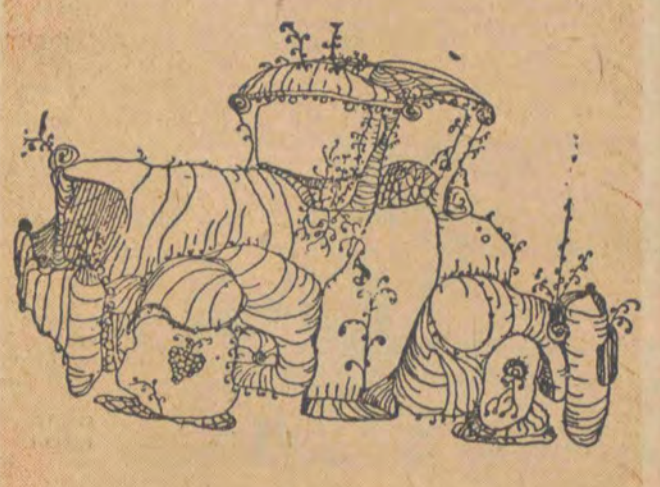

Automobil

Telefon

Telewizor

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

PRAWDZIWY POETA...

„Prawdziwy poeta, nawet zatrzaśnięty w klozetce, marzy, jakby słowem wyrazić to nowe granie: tym się wyróżnia".

Zapytacie, co to za nowe granie w zatrzaśniętej klozetce? Nie wiem. Poeta jednak tym się wyróżnia, że wie. Zapewnia nas o tym autor odgłosowego notatnika kulturalnego, sam poeta, więc znać się na rzeczy powinien. Poeta o poecie, w sprawie poetów...

Kiedyś mówiono, że rozbiła się nad Polską bania z poezją. Dziś rozbiła się chyba z poetami, którzy niebawem — jak tak dalej pójdzie — założą własny związek zawodowy, a może własną, autonomiczną republikę. Są przecież coraz bardziej autonomiczni, nie liczą na czytelników spoza bractwa, piszą dla piszących. Równocześnie jednak są tak przerażliwie poważni, tacy śmiertelnie serio, tacy nieugięcie przekonani o wielkiej swej roli i znaczeniu, że aż korci felietonistę do puszczenia w tę stronę małego zajączka.

Bo oto u szczytu włoskiego renesansu, gdy na każdym dworze roiło się od poetów i artystów, jeden z nich, Querno, otrzymywał od papieża, Leona X, wino tylko pod warunkiem, że zaimprowizuje pewną z góry oznaczoną liczbę wierszy. Jeśli ich było mniej lub nie odpowiadały zasadom prozodii — poecie napełniano kielich wodą zamiast wina.

Bo oto zapisano w annałach i taką scenę, gdy tenże papież, niezadowolony z przedstawianej właśnie komedii, kazał jej autora podrzucać na kołdrze jak piłkę. Pechowy poeta ugryzł ze złości trzech podrzucających go pachołków, za co z kolei posadzono go na plecy jednego z ugryzionych i wożono wokół widowni, tłukąc gdzie popadło. Później tytułem odszkodowania otrzymał dwa dukaty. Jacyż to niehumanitarni humaniści!

A tu młodziutki chłopiec, w swej pierwszej wypowiedzi na łamach „Współczesności" (numer 167), pisze o sobie z marsem na zadumanym poetycko czole: „Z robotniczego syna stałem się oto poetą. Patrzono na mnie z ciekawością i podziwem. Tak to prowincja fabrykuje powiatowe znakomitości...".

Powiatowa znakomitość przystępuje z miejsca do ogłoszenia dogmatu o poezji: „Cel, zadanie poezji, to tropienie śladów człowieka w przestrzeni i czasie, rejestrowanie sytuacji i konfrontacji fizycznych, dziejących się nieustannie w Einsteinowskiej czasoprzestrzeni".

Żebyż to choć była świadoma szarża, bufonada, „epatowanie mydlarzy", jak mawiano za czasów Kościelskiego i Tetmajera. Nie, to jest absolutne odkrywanie — jeszcze raz cytat: „oczekuję od siebie odkrywczego kontynuowania twórczości poetyckiej...". Uszy stulić i słuchać, co znakomitość wieszczy!

Są wiosny poetyckie, jesienie poetyckie, konkursy jednego wiersza, Złotej Róży, Palmy, Czółenka, Koniczka i Rzemyczka. Jest okazały miesięcznik i tysięcznik, tysiące młodych, inteligentnych chłopców i dziewcząt, czekających niecierpliwie na druk. Wszystko jedno gdzie.

A po takim drugim — no, niechby trzecim — wydrukowanym wierszu już można żądać stypendiów, świadczeń, szacunku, już można — znów słowami Łobody — dawać konduktorowi do przecięcia bilet teatralny, jeść zupę widelcem i wychodzić z „Samu" z pustym koszykiem. Wiadomo, poeta!

Taki dziwny, taki inny. Nawet zatrzaśnięty w klozetce, tropi ślady człowieka w przestrzeni i czasie.

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 621. III. 66. E-11